ŚWIAT DZIEWCZĄT

Nr 11



Rok I. Warszawa, dnia 10. kwietnia 1938 r. Nr. 11.

Świat Dziewcząt

WYCHODZI 1-GO 10-GO I 20-GO KAŻDEGO MIESIĄCA

ŚWIĘTA MIŁOŚCI...

kochanej Ojczyzny. Któż nie zna tych słów, dźwięczących dziwną solennością, a jednak bliskich i zrozumiałych! Szkoła podała je nam na na wykładzie literatury polskiej z epoki stanisławowskiej, ale z powodzi słów, cytat, analizowanych wierszy, rozbijanych na punkty obrazów, wyłuskałyśmy to natychmiast i przyswoiły jak najbardziej zrozumiałą rzeczywistość.

Miłość Ojczyzny! Od najwcześniejszych lat, od chwili, kiedy zaczęłyśmy myśleć, był to dla nas najszczytniejszy ideał. Pojęcie — bohaterstwo, pojęcie — poświęcenie, — pojęcie — szlachetność — przychodziło do nas poprzez patrjotyzm, słowo mądre, skomplikowane, ale aż wytarte przez częste użycie. Nie pomniejsza to jego wartości — tylko trzeba ostrożnie brać je w serce, aby nie napuchło frazesami, nie zniweczyło się jakąś przedziwną kłamliwością, która taki łatwy dostęp ma do każdego Ideału.

Przytem, jakże łatwo przejść po powierzchni tego uczucia, jak łatwo wziąć za prawdę pierwszy lepszy, utarty szablon, który już dawno wyzbył się wszelakiej treści Miłość Ojczyzny, to ideał niesłychanie łatwy do *powierzchownego* zrozumienia, leżący przytem na drodze poszukiwania pierwszej lepszej wzniosłości, jeżeli zrozumiemy, że „nie wypada" mieć pustego serca, więc..? Więc — gromadzimy koło siebie sterty szumnych słów, wyblakłych komunałów i dumni z tego jesteśmy, że wyznajemy — miłość Ojczyzny.

Takich snobów patrjotyzmu jest wiele, więc musimy się zastanowić — jakiemi drogami dochodzi do nas najszczersza, najprawdziwsza miłość Ojczyzny.

Założenie, że miłość Ojczyzny jest wrodzona, nie może być filarem naszego rozumowania. Zapewne, tkwią w nas pewne możliwości, ale napewno każda z nas przypomni sobie jedną chwilę dzieciństwa, kiedy to słowo — Polska — stanęło przed oczami w całej swej okazałości. Czasem był to jakiś wiersz, który do nas specjalnie przemówił, czasem, przepojone wzruszeniem słowo kogoś z bliskich, może matki, które narzuciło nam spostrzeżenie, że „Polska, to wielka rzecz", czasem, nic sobie, szczegół, który był tylko punktem wyjścia dla wzrostu uczucia. I oto zaczęło ono kiełkować, i oto zaczęło rosnąć, aż wreszcie pewnego dnia spostrzegamy, pojęcie Polska, stało się fundamentem naszych najwznioślejszych wzruszeń. Potem (a czasem jednocześnie) już następuje drugi proces — wprowadzenia Ideału w życie, spostrzegamy Polski, nie tylko w sferze podniebnej ale tu koło nas, w rytmie marszu żołnierskich butów, w poszumie drzew, okalających pól w kurzu drogi, w hałasie miasta, w zawodzących syrenach fabryk. Słyszymy: *polski* węgiel idzie tam i tam, *polskie* parowozy dostały nagrodę, *polski* okręt zawinął do dalekiego portu, *polski* lotnik uzyskał wszechświatową sławę. I wtedy (o napewno!) serce podchodzi nam do gardła, oczy głupio „się pocą", a myśl uparcie pracuje: co za niepotrzebne wzruszenie!

Nie, to nie jest w żadnym razie niepotrzebne wzruszenie, bo ono właśnie najcudowniej urabia charaktery na modłę bohaterską. Tak, teraz właśnie padło to słowo, które plącze się ciągle między linjami naszych rozważań, a którego nie można pominąć, tak jest bardzo, choć może niesłusznie związane z pojęciem patrjotyzmu.

Młodzież z epoki niewoli (jak niedawno, a jak przedziwnie „przed wiekami") od najwcześniejszego dzieciństwa otrzymywała zastrzyk patrjotyzmu, spreparowany poetycznie i bohatersko. Spiski, tajemne nocne narady, sądy więzienia, Sybreja, śmierć, wszystko to stwarzało specyficzną atmosferę, w której Ojczyzna wymagała jedynie najdalej idącego poświęcenia, aby za jego cenę okupić sobie wolność.

Polska wolna i niepodległa — było to hasło sztandarowe, jednakowo ważne dla wszystkich i.. dla wszystkich łatwo zrozumiałe. Trzeba było tylko ręką sięgnąć, aby zdobyć niezmiernie ważny ideał, cel życia, możliwość sławy, tytuł bohaterstwa. Nic, albo bardzo niewiele znaczyło wtedy ciche, szare dreptanie w kieracie codziennego życia, nic — zmaganie się jednostki na małym odcinku pracy. Trzeba było śmierci, trzeba było więzienia, trzeba było szabli, bomby, rewolweru, bo tą drogą jedynie mogła przyjść Wolność.

Gdy już przyszła — musiało nastąpić przewartościowanie dawnych wartości i — nastąpiło! Dawne bohaterstwo, bohaterstwo bujne, szerokie, wojenne albo to poetyczne, kryjące się w mroku podziemi i omawiające konspiratorskim szeptem swoje sprawy, stanęło oko w oko z bohaterstwem drugiem, z bohaterstwem pracy, odbudowy cegła po cegle zrujnowanych murów Polski. I cóż się okazało? Okazało się, że to drugie, to pracowite, codzienne i szare, jest o wiele trudniejsze do pojęcia, choć wybiło się nagle na miejsce naczelne.

Przytem cała masa ludzi, którym ideał wolności przyświecał przez długie lata, jak najszczytniejszy cel życia — została nagle bez busoli. Cała masa ludzi — uczuła pustkę w sercu, i niechęć do Czynu patrjotycznego, skoro obdarto go z nimbu bohaterstwa śmierci, więzienia, czy maksymalnego poświęcenia.

Cóż stąd, że praca, cóż stąd, że odbudowa? Czy chodzenie do szkoły, wykuwanie słówek łacińskich, szycie, gotowanie, rachunki czy buchalterja, mają coś wspólnego z dawną „tajną" pracą w kółkach Oświatowych, pod groźą rewizji, więzienia, pod groźą najwyższej odpowiedzialności?

Takie pytanie zadali sobie wszyscy, takie pytanie zadała sobie młodzież. Jak na to odpowiedziało starsze społeczeństwo, nie będziemy tu rozstrzygać, ale pomyślmy, jaka jest praca dla Polski w sercach współczesnej młodzieży.

Jest to sprawa o tyle poważna, że z obozu starszego społeczeństwa raz po raz pada do obozu młodych zarzut bezideowości, że nie kochają Polski, że nie są uspołecznieni, że tylko sport, lekka książka, kino i nauka w szkole wypełnia im życie po brzegi, że... bo ja wiem, co jeszcze?

Jeżeli mamy się bronić, my, młodzi, musimy przedewszystkiem dowiedzieć się, o jaki patryotyzm chodzi. Ten „przedwojenny", a raczej wojenny? Myślę, że młodzież polska zdała egzamin w obronie Lwowa, pod Wilnem, Kijowem, pod Warszawą. I zda go znowu, jeżeli zajdzie potrzeba. Ten drugi pracowity? Tak, tu jest gorzej, ale czy wina leży w bezideowości, czy w wadliwym kierunku Ideału. Trudno jest tak odrazu rozstrzygnąć.

Czy myślimy, my, Polskie dziewczęta, o Polsce, jako o dniu dzisiejszym? Czy codzienny trud jest dla nas takim samym Celem, jak dla tamtych była — śmierć na szubienicy lub w katorgach Sybiru? W większości wypadków my czekamy jeszcze ciągle na okazję bohaterskiego wyżycia się na szerokiej arenie, chcemy ciągle Polski bronić, dla Niej umierać, a nie umiemy z nią współżyć: nie umiemy żyć poprostu dla Niej.

Każdy trud, poniesiony w szkole, każda walka ze sobą samą, ze swoim złym charakterem, ze swoim egoizmem, lenistwem, czy czemś takiem, to jest przecież praca dla Polski. Jesteśmy za młode, aby brać udział w życiu politycznem na szerokiej arenie, za młode na działanie bujne i szerokie, które widać, które „znać": za które otrzymuje się oklaski, albo... pogardę. Ale możemy działać na swoim małym odcinku domu, klasy, która nas pierwsza nauczyła poczucia obywatelstwa, swojego miasta.

Rozszerzmy obowiązki względem nich dalej, głębiej, pokochajmy wszystkie polskie szkoły, polskie miasta, całą polską rzeczywistość, ale nie jako rzeczywistość ukończoną, która już nie ma ulec zmianom, ale jako pole dla naszej przyszłej pracy. Wyboiste drogi, niechaj będą bliskie sercu przez to, że nasze ręce, nasza praca i nasze starania mogą uczynić je w przyszłości, równemi i wygodnemi; pochylone, poetyczne chatki polskie, ukochamy, stając wobec wizji przyszłych, schludnych domków; na kominy fabryczne spojrzymy, myśląc o tem, że w przyszłości, gdy od nas to zależeć będzie, wystrzelą ku niebu o wiele, wiele gęściej. I tak, wymarzymy sobie tę Polskę przyszłą, tę Polskę mocną i bogatą, stając wobec Polski dzisiejszej, która z trudem wyrębuje sobie drogę ku doskonałości. Musimy dokładnie, jaknajdokładniej zrozumieć, że w obronie Ojczyzny występuje się zawsze solidarnie, nad Jej bytem jednak musimy pracować każda oddzielnie, każda na swoim małym odcinku. Wtedy, określenie „bohater", przestanie być zbytecznem w słowniku naszego pracowitego patrjotyzmu, wtedy rzucimy pomost między dawną, konspiratorską pracą młodzieży z lat niewoli, a dzisiejszą, twórczą, spokojną pracą w imię „Świętej miłości".

Zawiślanka.

PODHALE

Hej, góry me, góry me, góry m..., doliny.
Kaz mi sie podziwos, miły mój jedyny...”

Piosenka góralska ma nizki, przejmujący, chrapliwy ton, a do wtóru jej gra na ławie pod ścianą i świętemi obrazkami na szkle, troje skrzypiec i jedne basy. Na innych ławach, za stołami i pod oknem, przez które zagląda granatowa noc, siedzą gazdowie i gaździny — goście weselni w białych, haftowanych portkach, wyszywanych serdakach, spódnicach w kolorowe kwiaty, drużbowie i starostowie podśpiewujące na melodję krzesan..go, który wybijają właśnie na podłodze niestrudzone, stalowe nogi tancerza.

Kiedy tak, w ogłuszającej rozśpiewanej i rozbrzęczanej wrzawie weselnej izby pełnej kolorowych ludzi i dymu pomyślimy o otaczającym tę chałupę świecie, wydaje się nam, że nie zmienił się on od setek lat.

Biały śnieg mlecznemi zaspami zawalił wzgórza i drogi, czarne chałupy po „brzyzkach”, nad potokami, migają z oddali światełkami okien, gwiazdy świecą tak samo, jak od wieków, nad czarną ścianą Giewontu, nad zębatym masywem Tatr. Dzikie melodje, i przyśpiewki, namiętny i zaciekły rytm tańców, bogate hafty portek, cud serdaków, rzeźbione wzory zadymionego „sosrębu”, są wciąż jeszcze te same, jak przed wiekiem, gdy zabłądził w te strony poeta Seweryn Goszczyński, lub za czasów doktora Chałubińskiego, który odkrył, rozsławił i zaludnił tłumem przybyszy z dolin — nieznany podhalański świat.

Przechodzą nad tym światem podhalańskim lata coraz nowe i co rok podobnie, jarzące się, iskrzące ogromne śniegi zalegają zbocza górskie, kotliny i hale bieleją, różowieją, złocą się pod ciemnoszafirowem niebiem. Potem halny wiatr zjada swym ciepłym oddechem biało-niebieską powłokę zimy, z pod śniegów wylażą zrudziałe trawy, strugi odwilży zalewają drogi i pola i liljowe krokusy kwitną wątłe i porcelanowe na halach. A potem w wysokogórskim słońcu zaczynają mocno i żywicznie pachnąć „smreki”, bujna wysoka trawa zakwita kępami dzwonków, złocieni i gencjan, tak jaskrawych, jak szafirowe, oślepiające gwiazdki. Na halach dzwonią ostro dzwonki owiec, i potoki bulgocą głucho i zajadle w kamiennych, szarych gardłach dolinek. A wreszcie nadchodzi znowu jesień z czerwienią bukowych liści, ze zjadliwem zimnem, i nocami skrzącemi się od gwiazd. Zaś w tej różnorodnej i wciąż powracającej zmienności pór roku — góry królują wciąż tak samo groźne, śnieżne, kamienne i pierwotne nad złotozielonemi łąkami, nad drewnianemi chałupami i srebrnemi niciami potoków i białemi niciami dróg podhalańskich. Z ich dolin, zawalonych „maliniakami” i „piargiem” wieje kamienny chłód, ich siwe w słońcu hale porasta pachnący kosodrzew, ich szafirowe i pawie okrągłe i gładkie stawy świecą wysoko wśród skał, jak dro-



...biały śnieg mlecznemi zaspami zawalił wzgórza i drogi...



...liljowe krokusy kwitną wątłe i porcelanowe na halach...

gocenne i szlifowane drogie kamienie, ich krawędzie i szczyty spiętrzają się w wyniosłe formy na tle nieba, prześwietlonego słońcem, albo giną w morzu [illegible] i mokrych mgieł.

Ale mimo to wszystko, co zostało od wieków niezmienione w ziemi, przyrodzie, człowieku, obyczaju, jakże inne, nowe jest życie, które się rozpościera, buduje i panoszy w górskich i podgórskich dziedzinach, jakże się odmieniło od czasów, gdy doktór Tytus Chałubiński przywędrował tu w góralskiej furce, o budzie krytej płótnem, drogą spuszczającą się stromo ku Podhalu z Obidowskiej przełęczy. Zastał tu wtedy pierwotne dzikie życie zbójników

i pasterzy, zamknięte między skalne ściany chałup we wsiach: Poronin, Olcza, Zakopane, Kościeliska, Witów, Chochołów, życie odgrodzone od reszty innego świata.

Ale w miarę tego, jak w jego ślady coraz więcej przybyszy zaludniało chałupy nad potokami i szałasy na halach, by wreszcie począć budować tu swoje własne domy, w miarę tego, jak coraz więcej góralskich furek poczęło wozić gości z miasta, najprzód z dalekiego Krakowa, potem ze stacji w Chabówce, a wreszcie już z dworca kolejowego w samym Zakopanem, liczniejsze stały się te nici, łączące Zakopane ze światem dolin i ceprów z miast...

To tylko w kolorowym zamęcie i rozgwarze góralskiego wesela możemy sobie wyobrażać, że nic się nie zmieniło od lat.

Wystarczy się przybliżyć choćby trochę ku miastu, by pojąć, że dzisiejsze Zakopane, to już nie wieś góralska ale wielka miejscowość, zaludniona przez ludzi, których z najdalszych stron Polski przygnała tu tęsknota do gór, chęć odpoczynku, czy upodobanie do sportu, interes lub płucna choroba. Pensjonaty, hotele, nowoczesne piękne budynki wyrosły pomiędzy pół-zapadłemi ze starości dachami chałup góralskich, drogi porznęły wyżnię Kurpową, Żywczańskie w rozmaitych kierunkach. Sanatorja i szpitale wybudowano na słonecznych stokach Gubałówki, wysokie skocznie narciarskie wybudowano na Krokwi pod „reglami", czyli lasami smrekowemi i na stromem zboczu Jaworzynki.

Po kilka razy, dniem i nocą, przez sieniawską przełęcz wspina się ku Zakopanemu żelazny wąż pociągu, nieprzerwanie zmierzają ku niemu szosą autobusy, motocykle, wozy. Depesze mkną, jak iskry po telegraficznych drutach. Zakopane stało się bliskie, dostępne, przez jego domy i ulice przelewa się wciąż nowy, coraz gwarniejszy tłum ludzki.



...Drapieżne piękno, uzdrawiająca siła gór...

Zimą znaczą oni białe śniegi niebieskiemi śladami nart, jak wielkie ptaki struwają z wysokich skoczni, zapuszczają się na swych drewnianych deskach, przywiązanych do nóg w oblodzone czeluście górskie, dają się znosić w dół, po śnieżnych zboczach, ostremu wiatrowi pędu. W lecie wdzierają się jeszcze wyżej, na podkutych podeszwach, na rękach, na hakach i linach, zaczepionych o krawędzie skalne. Roją się wszędzie i tam na najwyższych szczytach i nisko u podnóży gór. Błękit nieba, biel śniegów, jaskrawa barwa i skalna woń górskich kwiatów, rzeźwy, ostry powiew powietrza napełnia im oczy, nozdrza i płuca. Drapieżne piękno, uzdrawiająca siła gór jest tą potęgą, która jak magnes ciągnie tych ludzi z najdalszych stron ku podhalańskiej miejscowości, zwanej Zakopane, która wznosi coraz nowe siedziby ludzkie u podnóża Tatr, zmienia z roku na rok dawną wieś góralską w rozległe, ludne miasto.

Ta pierwotna, ożywcza, piękna i bujna potęga gór jest nie przemijająca wśród tego wszystkiego, co się wokół niej buduje, przekształca i zmienia, jak przeciągła pieśń, śpiewana od tylu lat na górskich halach i na góralskich weselach:

„Hej, góry me, góry me, góry me, doliny..." *Hanna Mortkowiczówna.*

BRATNIE DUSZE

KOCHANA CHINKO!

Przedewszystkiem przepraszam Cię, że pozwalam sobie pisać przez „Ty". Znalazłaś jednak we mnie „Bratnią Duszę" — uważam przeto, że pisać przez Pani będzie zbyt krępujące. Jestem tych samych zamiłowań co i Ty i myślę, że szczerze byśmy się mogły nazywać siostrzyczkami. Co gorsza, zbyt maleńko wiem o mojej Chince, - nie wiedząc nawet, gdzie Jej szukać myślą — w których połaciach Polski. — Ja mieszkam na południowych rubieżach, — tuż nad samą granicą Czechosłowacji, w uroczej wiosce górskiej (może zgadniesz jakiej?!) zaczyna się na J.......a. Teraz przez zimę jedyną moją rozrywką, w godzinach wolnych od zajęć są narty, saneczki i śnieg. — Może później, gdy bliżej się zapoznamy, uda się nam zorganizować paru-dniową wycieczkę tu do nas — do gór, — tembardziej, że można uzyskać zniżki kolejowe, — a Szanowna Redakcja nam napewno w tem pomoże — prawda?

Tymczasem Pa!

„Ala".

P. S. Napisz dużo o sobie w następnym numerze. Pa!

Proszę o umieszczenie mego „Curriculum Vitae" w rubryce „Bratnich dusz".

Książki i pszczoły, są to istoty dla mnie najmilsze. Tak jak „Marylka" z „Zza progu szkoły" wolę siedzieć w kuchni, niż w szkole. Pozatem lubię: teatr, radio i kino, a kocham wieś. Marzeniem mojem jest podróż krajoznawcza po Polsce, a potem i po zagranicy.

A więc, kto się nie obawia, że go pokąsają pszczoły, niech napisze liścik do

Bartnika.

P. S. Nie wspominałam o „Świecie", dlatego, że uważam niemożność istnienia takiej osoby którąby go nie kochała i nie oczekiwała. Świat jest najmorowszem pismem dla dziewcząt! Kto twierdzi inaczej, zostanie pokąsany przez moje pszczoły tak że nie zobaczy już światła ani dziennego, ani elektrycznego. *B*

Szukam „bratniej duszy".

Przedewszystkiem dziękuję „Chince" za jej cudowny pomysł, a także redakcji, która zrealizowała jej prośbę. Uczęszczam jeszcze do gimnazjum, gdzie mam dużo koleżanek, a między nimi kilka takich, z któremi specjalnie dobrze żyję. Choć mam ich tak dużo i chociaż wszystkie są miłe i kochane, to jednak prawdziwie „bratniej duszy" nie mam. Dlatego też proszę, aby z Czytelniczek naszego „Świata", która mnie uważa za „bratnią duszę", rozpoczęła ze mną korespondencję. A więc moje zamiłowania. Naukę w szkole dość lubię, także muzykę. Najulubieńszym mym zajęciem, któremu też poświęcam najmniejszą chwilkę czasu, to czytanie książek i dobrych czasopism, np. „Świata dziewcząt". Resztę dowie się ta, która ze mnę będzie chciała korespondować.

Halszka.

Do koleżanek i bratnich dusz.

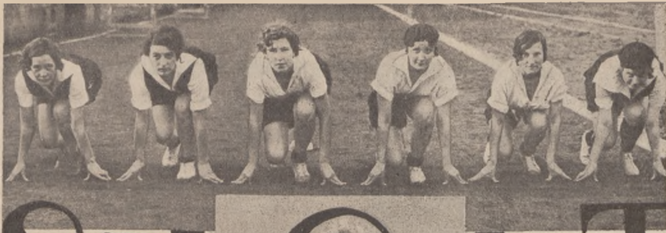
Kochane Koleżanki i Bratnie Dusze!

Otóż i nadchodzi ostatni tydzień postu: „Wielki tydzień" — poważny i smutny. W każdym też zapewne domu, wśród zwykłych zajęć, odczuć możecie jakieś dziwne skupienie. Zdaje się, że skupienie to jest jakoby przygotowanie się do przyjęcia czegoś radosnego, co ma wkrótce nastąpić. Tak... Są przed nami dni, w których będzie tyle radości i uśmiechu. Ale... czy wszędzie? Zapewne, że nie! To też pamiętajcie, Drogie Koleżanki, że w wielu miejscach radość świąteczna błyska bardzo rzadko, a czasem tylko wtedy, o ile wy się o to postaracie. Dążcie też do tego, aby w duszach i sercach jak największej liczby ludzi, a zwłaszcza dzieci, przygotować święto. Pamiętajcie o tem, że trzeba pomyśleć o wszystkich, komu możemy coś pomóc i na coś się przydać.

Zwracam się z tem do Was, gdyż wiem, że wy umiecie często zanieść uśmiech tam, gdzie go niema, zwłaszcza, gdy same czujecie, że macie w sobie radość i pogodę. Wiem, że dużo już drużyn harcerskich i związków szkolnych zajmuje się przygotowaniem święconego dla inwalidów, sierot i wszelkiej nędzy ludzkiej, lecz ja, jako Wasza koleżanka przypominam, że bardzo dużo z Was może i na „własną rękę" coś zrobić i niejednemu wielkie święto Zmarchwychwstania radosnem uczynić. A o ile nie macie zupełnej styczności z nędzą, to przypomnijcie sobie tylko „Caritas" lub „Wincentego a Paulo", a będziecie wiedziały, co robić. Chodzi tu tylko o Waszą dobrą wolę i o — energję, bo już wielki czas.

Nakoniec dodaję jeszcze: pamiętajcie i o rodakach naszych zagranicą i choć zwykłą kartką umilcie im to życie zdala od kraju, a przez to dacie dowód, że pamiętacie o braciach i siostrach z za gór, dolin i mórz. Zapłatą dla Was niech będzie myśl, że czasem tą drobnostką wywołacie uśmiech na smutne twarzyczki. Czyż wolno nam tego zaniechać? — Śpieszcie się, bo już czas!

„Mirus".



SPORT



PANIE Z AZS'U MISTRZYNIAMI SIATKÓWKI.

Siatkówka nie jest może najwszechstronniejszym ze sportów i jej wartości wychowawcze są niezbyt wielkie, jednak gra ta zyskała sobie w Polsce popularność olbrzymią. Najwięcej zajmują się siatkówką panie, gdyż nie posiada ona zupełnie cech brutalnych, które spotykamy, mimo wszystko, w większości gier sportowych, a prócz tego wyrabia ogromnie zręczność, szybkość orjentacji i wielką swobodę poruszeń.

Polski Związek Gier Sportowych zorganizował ostatnio rozgrywki o puhar, do którego stanęły wszystkie najlepsze zespoły polskie.

Finał rozgrywek odbył się w Warszawie i skończył się triumfem drużyny pań AZS'u, które już od kilku lat przodują w tej dziedzinie wszystkim klubom. W turnieju wzięły pozatem udział mistrzowskie drużyny Łodzi (HKS), Krakowa (YMCA) i Torunia (Rodzina Wojskowa).

Ostatni turniej, który był jakby oficjalnem zakończeniem sezonu zimowego, wykazał ogromną poprawę klasy we wszystkich czołowych naszych zespołach.

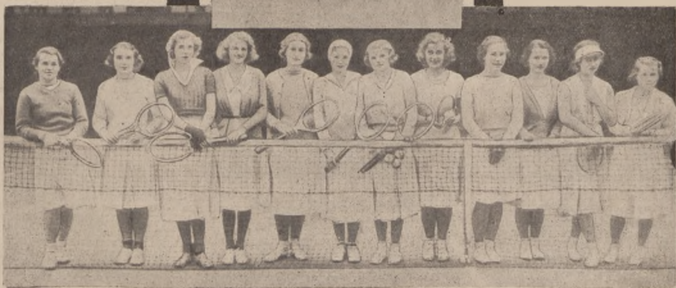
W chwili obecnej wszystkie zwolenniczki siatkówki powoli opuszczają już duszne sale gimnastyczne, aby ponownie rozpocząć treningi, tym razem już na świeżem powietrzu. Za dwa, trzy tygodnie wszystkie boiska zaroją się już od zapamiętałych zawodniczek, które obok siatkówki, z równym zapałem wezmą się do koszykówki, czy też „hazeny".

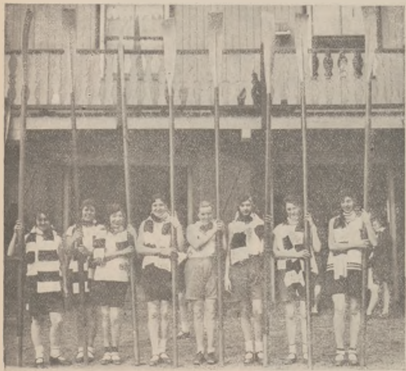
Po „gorącym" letnim sezonie odbędą się mistrzowstwa, i one zadecydują, które drużyny zdobędą zaszczyt ozdobienia swoich piersi tarczą z Białym Orłem.

SUKCESY JĘDRZEJOWSKIEJ W LONDYNIE.

Po powrocie z tournee tenisowego w Skandynawji, gdzie Jędrzejowska odnosiła same zwycięstwa, mistrzyni nasza „osiadła" na kilka tygodni w Londynie, gdzie pod kierunkiem trenera Hieronsa przygotowuje się do czekającego ją ciężkiego sezonu.

Już pierwszy występ Jędrzejowskiej na ziemi angielskiej zakończył się jej triumfem. W turnieju klubu Twickenham Jędrzejowska łatwo doszła do finału, gdzie po krótkiej walce pokonała miss Morfey 6 : 3, 6 : 3.





Forma Jędrzejowskiej nie była chwilowa i w następnym, już poważniejszym turnieju potwierdziła swoją klasę w zupełności. W półfinale pobiła ona miss Harwey, a w finale rozprawiła się w trzech setach z Angielką Mudford. Jedynie w grze podwójnej udało się parze angielskiej Rund-Thomason pokonać Jędrzejowską ,która miała za partnerkę słabo grającą miss Morfey.

Sukcesy Jędrzejowskiej wydały owoce już teraz. Została ona ponownie zaproszona przez Anglików do wzięcia udziału w wielkim dorocznym turnieju w Wimbledonie, który od wielu lat jest uważany, jakby za nieoficjalne mistrzostwa świata. Takie zaproszenie jest wielkim zaszczytem, jeśli się zważy, że wiele najlepszych tenisistek ubiega się o to bezskutecznie.

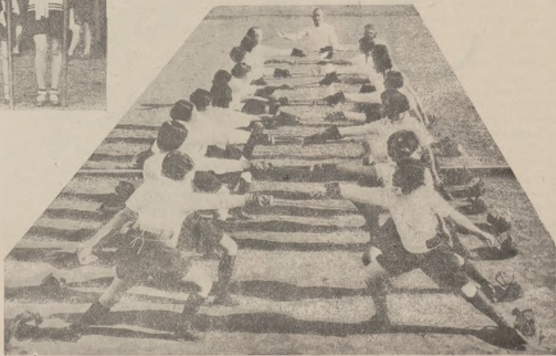
Jadzia Jędrzejowska czuje się w Londynie, jak „u siebie w domu". Konsul polski pan Hulanicki, który sam był kiedyś znakomitym sportowcem, otacza ją serdeczną opieką, odsuwając od naszej mistrzyni wszelkie przykrości i kłopoty. Jędrzejowska, za jego poradą, wzięła się gorliwie do nauki angielskiego i podobno poprostu z dnia na dzień robi zdumiewające postępy w opanowaniu trudnego języka.

CZEKAMY NA LATO!

Powoli obsycha wilgotna ziemia, choć słońce zaczyna już mocne przygrzewać. Niecierpliwie czekamy na dzień, kiedy boiska sportowe pokryją się świeżą zielenią i pozwolą nareszcie używać w pełni rozkoszy sportu i zdrowego ruchu na powietrzu.

Zima już minęła, na lato musimy jeszcze, niestety, trochę poczekać. Narazie zazdrościmy naszym koleżankom z Ameryki, które, jak to widzimy obok na zdjęciach, mają możność uprawiać ulubione sporty już od kilku tygodni.

W. Trojanowski.



KURJER DEKADOWY Nr. 1 10.IV. 1933 r.

DYKTATURA CZTERECH MOCARSTW.

Z inicjatywy premjera angielskiego Mac Donalda podjęte zostały, najpierw w Rzymie, potem zaś w Paryżu, rozmowy na temat paktu, któryby obejmował Anglję, Włochy, Francję i Niemcy oraz miał na celu — na podstawie paktu Briand — Kellog — uzgadnianie stanowiska tych państw w kwestjach polityki europejskiej.

Poszczególne etapy rokowań na ten temat przynosiły coraz to inne teksty. Dotąd znane jest pozytywne stanowisko Włoch i Anglji w sprawie paktu (nazywa się on w różnych prasowych ocenach „koncertem", „klubem" i t. p.), obecnie zarysowuje się już pewna ustępliwość Francji, która dotąd zdawała się skutecznie opierać próbom takiego układu sił.

Pakt czterech naruszyłby równość państw współpracujących na zasadzie paktu Ligi Narodów a tem samem podkopywałby autorytet tej ostatniej. W dotychczasowych projektach przewijają się różne, niebezpieczne dla pokoju Europy tendencje, jak np. zaktualizowanie rewizjonizmu, kwestja dozbrojenia Niemiec i t. p.

Stanowisko Polski jest proste i jasne: *Polska nie uzna nigdy prawa decydowania jakiegokolwiek czynnika o jej losach a, oparta o własne siły, potrafi skutecznie przeciwstawić się wszelkim próbom narzucenia jej jakichkolwiek rozwiązań.*

HITLEROWCY PROWOKUJĄ POLSKĘ.

Na granicy Prus Wschodnich, grupy umundurowanych hitlerowców, od strony niemieckiej, prowokacyjnie zachowywały się przez pewien czas w stosunku do Polski. Mianowicie na szosie Łasin — Wielka Tymawa uszkodzili oni godło Rzplitej w pobliżu kamienia granicznego [illegible]

POLICJA PORTOWA W GDAŃSKU.

W związku z nastrojami, które płyną z Niemiec, Senat Gdański polecił policję portową, która utrzymywała porządek w granicach portu, usunąć i zastąpić policją gdańską. Policja portowa podlegała zwierzchności Rady Portowej i odróżniała się od policji gdańskiej tylko tem, że na rękawie nosiła biało-czerwoną opaskę. W tym samym czasie na ulicach Gdańska pojawiły się jakieś podejrzane, spacerujące grupki osób nieznanych. Nawet na ulicy pobito woźnego naszego Komisarza w Gdańsku. Rząd polski kierowany słusznemi obawami wysłał 100 żołnierzy dla wzmocnienia załogi polskiej na Westerplatte. Na Westerplatte w Gdańsku znajdują się magazyny polskie z amunicją. Za ewentualne wypadki oskarżono by Rząd polski. Nawet podobno takie zamiary ze strony hitlerowców istniały. Słusznem jest, że Polska wystąpiła z całą stanowczością. W tej sprawie nasz minister spraw zagranicznych, p. Beck porozumiał się w Genewie z Prezydentem Gdańska. Na podstawie porozumienia policja portowa powróciła do pełnienia swych czynności w porcie. Polska zaś wycofała oddział żołnierzy, przeznaczony dla wzmocnienia załogi na Westerplatte w Gdańsku, gdyż p. Prezydent Ziehm zagwarantował, że nie dopuści do wpływów hitlerowskich w Gdańsku i zapewnia spokój.

WIADOMOŚCI Z JAPONJI.

Rząd japoński zawiadomił jeneralnego sekretarza Ligi narodów, sir Erica Drummonda o wycofaniu się Japonji z Ligi Narodów.

Jednocześnie japońska rada koronna przyłączyła się do opinji rządu japońskiego i wyspy na Pacyfiku, które były pod mandatem Japonji, uznała za składową część terytorjum japońskiego. Rząd tokijski nie odda wymienionych wysp Lidze narodów.

PORT W GDYNI I ZIMĄ PRACUJE.

Pomimo, że w sezonie zimowym praca w porcie się kurczy, żywotność naszego portu wykazała się w styczniu obrotem towarowym 416.729 t., a w lutym 405.510 t. Ruch statków zanotowano: w styczniu 311, w lutym 256 statków. Kolejność bander od paru miesięcy jest prawie bez zmiany. Szwecja stale na pierwszem miejscu, Polska na drugim, o trzecie miejsce konkurują Niemcy i Danja, potem dopiero Norwegja. Głównym artykułem sezonu był przywóz świeżych owoców. Ożywiony jest również dowóz towarów kolonjalnych, kawy, kakao i herbaty. Jeden tylko statek „Uba" przywiózł 60.000 worków kawy z Brazylji. Firma czeska Bat'a, znana na gruncie warszawskim, wszystkie swoje transporty na rynki światowe prowadzi przez Gdynię. Komunikacja między Gdańskiem, a Gdynią znikoma, a w styczniu i lutym ustała niemal zupełnie. Zimą ruch pasażerski utrzymany był jedynie z Ameryką Północną. Przyjechało w sezonie zimowym do Gdyni 167 osób, wyjechało morzem 540. Z działalności naszego portu musimy [illegible]

TARGI POZNAŃSKIE.

W roku bieżącym w Targach Poznańskich weźmie udział szereg krajów i kolonij po raz pierwszy. Liczyć należy, że cały przemysł polski weźmie udział na tegorocznych Targach gdyż komisarze i przedstawiciele 16 kolonji francuskich na Targach Poznańskich będą się starali nawiązywać stosunki handlowe, mianowicie będą poszukiwać wzorów i próbek polskiej wytwórczości aby je zalecać swym mocodawcom, w celu robienia zakupów. Warto pojechać, można wiele zobaczyć i dużo się nauczyć.

S K E E F

Morze było naprawdę bez kresu. Otaczało z trzech stron osadę. Tłukło o brzeg. Nieustannem waleniem żłobiło kamienie. Wieś rozrzucona między głazami wyglądała, jak maleńkie muszle. Dalej, już za dworem, rozpoczynały się wrzosowiska. Gwen wiedziała, że wszędzie słychać było szum.. Wiedziała, choć nie umiała go już słyszeć: była tu przecież dziesięć dni. Ale słony nalot na ustach był dowodem, że wszędzie, w powietrzu ciężkiem, poruszanem przez nieustanny wiatr — było *morze*. Trudno było coś powiedzieć o życiu Gwen tutaj. Sześć tygodni przymusowych, zdrowotnych wakacyj u ciotki w starym szkockim dworze — to było coś tak innego, wyrwanego z jej zwykłego życia — że nie podpadało pod żaden sąd, pod żadne *zdawanie sobie sprawy*. Wszystko było jedno: szum, wilgotny słony wiatr. Z krzykiem zrywały się mewy.

Listy z domu stały się czemś egzotycznem. Tak samo wspomnienia: gwarne ulice, teatr, kino, błyskanie szybkich reklam. Wieczorem, kiedy wilgoć wczesnej wiosny i chłód idący od morza zapędzał Gwen do niskiego, o belkowanym suficie pokoju, jakże dziwny wydawał się głos idącej z czarnej skrzynki radja:

Hallo tu Paryż — hallo London.

Była daleko. Zmęczenie po przebytej chorobie pozwoliło jej czas jakiś wegetować, jak roślinie. Ale, kiedy wypoczęła i nabrała sił — wydała się sobie jakaś inna, jakby zaciszona. Wysłuchała potulnie tysiąc chyba razy etyczno-towarzysko-kulinarnych dysertacyj ciotki i politycznych rozmówek wuja. Gwen przywykła: w życiu jej musi się coś *dziać*. Tu — nic się nie działo. Nie był przecież zdarzeniem nieustanny szum. Myśli Gwen wyprzedzały zdarzenia. Huczał wiatr. Huczał nieustannie, uderzając miarowo mocniej. Był to dziwny trzask. O płaskie kamienie Gwen liczyła.

Teraz.

Jak zegar. Dnie jasne i szare były odmierzane tem uderzeniem. Schodził czas. Noce, kiedy morze było czarne z połyskliwym nalotem księżyca na falach, huczały tak samo. Noc i morze były jednako ciemne i przepaściste. Jak złota smuga rozdzierało je światło. Stamtąd — ze „Skeef'u". Widać je było z pokoju Gwen.

W dzień „Skeef" był zwykłą, szarą wieżą o maleńkich, jakby więziennych oknach. Nocą stawał się dziki i skalisty. Wtedy droga od latarni do dworu wydłużała się. Dwór otoczony nawpół zimowym ogrodem należał do ziemi. Drzewa, twardość solidnych ścian. Tak: to było coś *stałego*. Ale „Skeef" był na *zrębie*: tam już było — morze. Do niego kierował się dziki krzyk okrętów. Światło pełzające po czarnej wodzie szukało wołających pomocy. Jakże to brzmiało w wilgotnej ciemności! (Save our souls! Save our souls!). Gwen zasłoniła okno. *„Skeef"* był nieprzyjemny w nocy.

— Pójdę dziś trochę dalej, ciotko Gladys.

— Nie zmęczysz się kochanie?

— O, nie! — Już nie pamiętam swojej ślepej kiszki.

— Dziś taki wiatr! —

— Kiedyż go niema ciotko? — A zresztą czy sądzisz, że mnie przewróci?

— Dokąd się wybierasz? —

— Pójdę w stronę „Skeef'u".

Gwen nie chciała trzasnąć drzwiami: zrobił [illegible]

Gwen nie mogła przecież siedzieć ciągle w domu i kręcić na dystansie kilkunastu metrów. Skautowskie, dzielne nogi Gwen szły szybko naprzód. Powietrze było bardzo jasne. Wiatr huczał. Był niziutko przy ziemi, wyżej — kręcił włosy Gwen, a najwyżej — nad głową, szarpał niebieskie powietrze. Był rześki i mocny. Gwen pomyślała.

— Jestem już zupełnie zdrowa.

Szła w stronę wsi. Skakała po wygładzonych przypływem kamieniach. Fale dobijały do brzegu — szereg za szeregiem. Gwen skręciła na lewo, o jakiś kilometr od niej wznosił się „Skeef". Maleńkie okienka wyglądały w słońcu domowo i przytulnie. Gwen pomyślała, że gdyby nie przepaścista noc — mogłaby w nim zamieszkać. Roześmiała się w głos. Cóżby na to powiedziały jej światowe koleżanki, June, Mary, Nelly! — Gwen na „Skeef'ie"! A jej życie? Sporty, zabawy, szkoła, skautowskie obozy i wyczyny! Co za głupie myśli! Cóż Gwen może obchodzić jakaś zakazana latarnia w dalekiej szkockiej dziurze. Głupie nastroje; czyż Gwen nie ma swego życia w dalekiem, gwarnem mieście? Chyba mózg jej „przewiał" wiatr. Nagle zrobiło jej się poprostu głupio: zdała sobie sprawę, że od dłuższego czasu myśli nieustannie o Skeef'ie.

— Tfu! Gwen splunęła, jak ulicznik.

Wtedy rozległ się za nią śmiech. Obejrzała się wściekła i trochę przestraszona. (Cóż to miłego być śledzoną i jeszcze na takiem odludziu!). Nie: na szczęście nie było wkoło żadnego pijanego grogiem lwa, czy wilka morskiego. Nie. Na kamieniach siedziała dziewczyna. Objęła rękami chude kolana długich nóg. Warkocz (co za anachronizm!) miała bardzo jasny i bardzo potargany. Gwen zdaleka widziała masę piegów na małej, chudej twarzy. Jasne oczy były bardzo wąskie, a w kącikach było widać siatkę zmarszczek. Ściągnęła oczy w śmieszne szparki (jak można tak się wykrzywiać!) i patrzyła prosto w Gwen. Gwen odwróciła się tyłem. Cóż ją mogło właściwie obchodzić to wszystko? Zaczęła gwizdać przez zęby i przyspieszyła kroku. Na plecach czuła czujne, jasne spojrzenie. Skręciła w bok między głazy. Mocno zdyszana wydostała się na wiejską drogę. Na dziś miała stanowczo dość spacerów. Ktoś szedł ku niej od dworu.

— Hallo! To ty wuju?

— Ciotka się niepokoi, kochanie. Wyszedłem naprzeciwko Ciebie.

Szli razem w stronę dworu. Gwen paliła twarz. Wuj laską wskazywał na zabudowania. Objaśniał. Ten mieszka — tu, tamten — tam. Gwen słuchała jednem uchem. Jakieś dzieciaki o wypłowiałych włosach wyglądały z drzwi. Mijali ich ludzie, powoli stąpający, ciężcy. Nagle Gwen zatrzymała się. Środkiem drogi szła jasna dziewczyna o piegowatej twarzy. Potargany warkocz fruwał na wietrze.

— Kto to wuju? —

— To Madge. Dziewczyna ze „Skeef'u".

Gwen nie mogła spać. Ciepła, pachnąca lawendą kołdra wydawała się kamiennym ciężarem. Poduszka napuchła, jak pierzasty potwór. Huk za oknem był dziś większy, niż zwykle. Jakże potwornie czarny jest w taką noc „Skeef"! Gwen usiadła na pościeli i nadsłuchiwała. Dudniło. Raz mocniej — raz słabiej. Za chwilę huknie znowu. Gwen wyskoczyła z łóżka. Szarpnęła firankę, odsłaniając okno. Noc była bez gwiazd. Czarne morze wyło w ciemności, jak na dnie urwiska. Jasna smuga, biegła stamtąd, ze „Skeef'u". Z ciemności bił krzyk, czy jęk. Coś potwornego. — Pomocy! — Światło skręciło w bok. Białe piany lysnęły z innej strony. Syreny zawyły znowu. Pod Gwen zgięły się nogi. Trzęsąc się, przytuliła twarz do tętniącej szyby.

— Boże! Boże!

Na dole, w pokoju wujostwa zaczęło coś chrobotać. Naturalnie — obudzili się — i naturalnie nie przyjdą do Gwen, żeby jej nie „obudzić". (?!). Jakie to śmieszne: któż mógłby spać *w taką* noc? Gwen trzęsącemi rękami skierowała światło w okno. Pomóc! Ach jakie to śmieszne — blade światełko nocnej lampy rozpłynęło się w mroku. Pomyślała prędko, bezładnie o „niej", o dziewczynie z wiecznie czuwającego „Skeef'u". O jasnych oczach, które widziały wiele, wiele, wietrznych nocy.

Światło — dziwnie jasne zatoczyło krąg po czarnej wodzie. Krzyk umilkł. Za oknem huczało morze.

Jak długo trwała noc — Gwen nie wiedziała. Wróciła do łóżka skostniała. Świtało. Jak nędzny pieczuch wsunęła się pod ciepłą kołdrę. Jakże gardziła swemi sportowemi wyczynami w tę huczącą wiatrem noc! Jakąż dziecinną zabawą wydały jej się kajakowe wyprawy po rzekach i grzecznie spokojnem morzu. Jakże dziwne, wiecznie czujne było światło latarni na zrębie ziemi.

— Dziewczyno ze „Skeef'u" — czuwaj — powiedziała przed siebie w mrok.

Odkrzyknął jej dziko mocny, morski wiatr.

— Gwen! Dokąd znowu?

— Bo ja wiem, ciotko kochana. Tak przed siebie...

— Dobrześ spała? Tak się bałam, że się obudzisz! Jakiś statek zabłąkał się przy brzegu i musiano go szukać ze „Skeef'u".

— Coś słyszałam.

— Tak, był straszny wiatr. Ale zato spójrz, jaka dziś pogoda.

Gwen czuła ciepło ostrego słońca na plecach i karku. Zdjęła czapkę. Ciepły wiatr poruszał jej czupryną.

— Żegnaj ciotko! Idę się wygrzać na wio[illegible]

Wieś była cała złota. Gwen opuszczała się po kamieniach ku morzu. Na zieloną, skłębioną wodę padał strzelisty cień. Tam był „Skeef". Gwen ciągnęło w jego stronę. Którem z maleńkich okienek wyglądała wczoraj „ona" — jasnowłosa dziewczyna na skłębiony nurt? Płaskie buty Gwen ślizgały się po głazach. Przystanęła. Za jasnym kamieniem zobaczyła *znak*. Strzałę, zwróconą tam — w kierunku Skeef'u.

— Kto?

Gwen zaparło dech. Jakie tajemne sprawy działy się tutaj w tej wietrznej osadzie? Kto znaczył kamienie na drodze do Skeef'u? Gwen popędziła naprzód. Z wrzaskiem poderwało się stado mew. Zdyszana przystanęła. Buty wryły się w piasek. Obok na kamieniach był znowu *znak*. I dalej. Jeszcze jeden, — drugi — trzeci.

— „Skeef"!

Gwen siadła na piasku. Dyszała. Wtedy załopotało coś koło niej. Zafurczała z wiatrem krótka spódniczka. Zadudniły nogi. Dziewczyna ciemna i śniada przebiegła koło Gwen. Tam — w stronę latarni.

Gwen gryzła toasty. Jakże dziwaczne było wszystko! Znaczone kamienie. Co kryło się w czarnej nocy? Jakie kutry i łodzie kręciły się przy brzegu, kiedy jasna smuga ze Skeef'u wędrowała po wodzie, szukając rozpaczliwego wołania? Bandy przemytnicze? Piraci? Kogo miały kierować do latarni tajemnicze znaki? Czy co grozi jasnowłosej dziewczynie, o mocnych rękach i rozwianym warkoczu?

Jak nudno wyglądały gwarne dalekie miasta. Ważkie chwile płynęły tu — u stóp „Skeef'u".

W słońcu łopotały białe mewy.

Dzień był rozpalony od ciepłego wiatru.

Gwen dławiło coś w gardle. Dowiedzieć się wszystkiego! Pytać ciotki? Wuja? Ach, śmieszne! Gwen musi dowiedzieć się sama.

Gwen skacze, jak koza po kamieniach. Tu *znak* i tu *znak*. Serce tłucze. Ktoś biegnie. Gwen zaczaiła się za głazami. Dziewczyna. Jedna. Druga. Trzecia. Gwen poderwało. Cicho na gumowych podeszwach pobiegła za niemi. — Wiatr świszczał w uszach. Wpadła w chłodny cień latarni. Jeszcze parę kroków. Jeszcze parę kroków. „Skeef"!. Stanęła przy drzwiach. Czarna szczelina wejścia ziała zimnem. Gwen zatrzymała się. Jakim prawem przyszła tutaj? Jakim prawem ona, intruz zdaleka — wtargnęła tutaj do nadmorskiej wieży? Dzika ciekawość (tak to było to) — pchnęła ją naprzód, na cudackie wąskie schody.

Ciemno. Dygocąc przeskakiwała po parę stopni. Przystanęła zmęczona. Przed nią były wąskie drewniane drzwi. Przy nich namazana czerwonym ołówkiem — *strzała*. Taka jak tamte — na kamieniach. Z determinacją pchnęła drzwi. Buchnęło jasne światło. Minęła dobra chwila, nim oślepiona blaskiem, zdołała przeczytać napis na białej, wiszącej na ścianie karcie.

ZASTĘP MEW

Stało ich sześć. One. „Mewy". Między niemi jasnowłosa Madge. „Dziewczyna ze Skeef'u".

Gwen pojęła wszystko. Jasno, wesoło świeciło okno. Za niem szumiało morze. Wyprostowała się w progu i zawołała młodym zdrowym [illegible]

— Hallo! Delegatka londyńskiego zastępu *„kozic"* pozdrawia zastęp *„mew"!*

Gwen śpiewała, jak ptak. Miała tu wszystko: wiatr, słońce, morze. I wesołe, dzielne towarzyszki. Opalone, jak jesienne kasztany skakały po kamiennym brzegu. Jak dobrze jest żyć. Podchody, kryjówki! Jakie to było ciekawe. Znaki skautowskie rozsiane są po całym świecie. I po nadmorskich, północnych głazach. Jak dobrze, było uścisnąć twardą od pracy dłoń Madge — Witaj! —

O „Skeef" uderzały rozgrzane słońcem fale.

Anna Th[illegible].

WIERZBA

Wierzba w literaturze określana jako drzewo polskie, istotnie nieraz charakteryzuje nasz krajobraz, jest przytem pierwszym zielonym pędem, pojawiającym się na wiosnę.

Znaczenie drzew i roślin zielnych w obrzędowości pogańskiej znane jest powszechnie. Gaje, ogrody, lasy były niejednokrotnie otaczane czcią, jako siedliska bogów. Drzewa również często nosiły charakter sakralny, a przeżytki owych wierzeń znalazły się w obrzędowości i zwyczajach polskich. Wierzba występuje w tej roli często zarówno u nas, jak i gdzieindziej. Widzimy ją przedewszystkiem podczas świąt Wielkanocnych, występującą w palmie.

Zwyczaj palenia palm i święcenia ich podczas nabożeństwa w kościele, jest zachowanym powszechnie. Nie wszędzie palmy są układane jednakowo, ale obok różnych gałązek ziela najpospolitsze są w palmie wielkanocnej bazie wierzbowe.

Pleciona różdżka palmowa dochodzi miejscami do 10 metrów wysokości, a obok wierzby występują gałązki leszczyny, berberysu, tataraku, lub gałązki wiecznie zielonych drzew iglastych. Związywana bywa nowemi batogami, postronkami, wstążkami lub lnem.

Taką rózgę na Podgórzu zowią bagnięciem, gdzieindziej różdżką lub palmą. Słoweńcy w południowej Styrji plotą czasem palmę w rodzaju wieńca, zowie się ona „preswiec".

Palmę plotą dziewczęta, lub pasterze przed niedzielą palmową.

Dziś w wielu okolicach, a szczególniej w miastach i miasteczkach specjalni kramarze rozkładają na cmentarzu mnóstwo palm, które kupuje ludność przychodząca do kościoła.

Na Huculszczyźnie w „Béczkowu nedilu", służba cerkiewna rozkłada wiązki wierzbowych gałązek (béczko) przed carskiemi wrotami. Ksiądz przed mszą święci je, a namaszczając czoła wiernych święconym olejem, rozdaje każdemu po gałązce wierzbowej.

Zanim poświęcona palma spocznie za obrazem lub belką, jest przedmiotem wielu praktyk, które mają zapewnić wszelkiego rodzaju powodzenie.

W Pińczowskim bazie wierzbowe zmieszane z chlebem, dają domownikom i bydlu do spożycia jako pierwsze święcone. Ma to zabezpieczyć od bólu gardła. Łykanie bazi palmowych, jako środka ochronnego przed bólem gardła i febrą, było rozpowszechnione w Wielkopolsce, na Mazowszu, w Małopolsce, Śląsku i Podgórzu.

W Krakowskiem, podczas burzy, aby odegnać grzmoty i błyskawice zapalają bagnięcie lub stawiają je w oknie, również zatykają na szczyt domu.

W okolicach Iwonicza obchodzą z palmą trzy razy dokoła domu, uderzając trzy razy o każdy węgieł chaty i kąty, następnie omiatają je, aby się w domu nie lęgło robactwo.

Wierzbowe batogi utrudniają przystęp złemu duchowi do ludzi i bydła, dlatego też w Krakowskim stawiane bywały w oknie, aby wieszczyce nie zaszkodziły małemu dziecku.

Dobre gospodynie w dzień św. Jana wieszają nad stajnią i oborą gromnice i poświęcaną wierzbę, gdyż hulające tego dnia czarownice mogłyby urzec bydło. Uderzają również bydło palmą wierzbową, gdy po raz pierwszy idzie na wiosenne pastwisko. W okolicach Dukli „poganiacz", gdy wróci z palmą do domu, omiata nią inwentarz przeciwko zarazie.

Aby plon był obfitszy przyorywują kilka gałązek wierzbowych. Zatykają między kapustę, lub na zasianym polu.

Nawet wróżby można czynić na palmie. Dziewczęta liczą bazie na swych gałązkach, która z nich ma liczbę parzystą, ta wyda się w tym roku zamąż.

Nietylko w Polsce poświęcana gałązka wierzbowa odgrywa tak wielką rolę w obrzędowości; występuje ona u wielu ludów Europy podczas rozmaitych świąt i zwyczajów dorocznych.

Na świętego Marcina, w wielu okolicach Niemiec, pasterz wije różdżki z wierzby i brzeziny, stroi ją pięknie kolorowemi wstążkami i wędrując od domu do domu obdarza niemi każdego wieśniaka. Podczas żniw, na ostatni wóz zboża zakładana bywa gałązka wierzbowa, przybrana kwiatami.

W Grecji znano uroczystości wypędzania raz do roku głodu za drzwi domu. Czyniono to gałązką wierzbową.

Czesi wierzą, że przy pomocy poświęcanej wierzby i trzech pręcików białego orzecha można odnaleźć zaklęte skarby, tak jak u nas osiąga się to przy pomocy kwiatu paproci.

Występuje ona również w świętach Japonji, w starożytnej Grecji, w świętach Talmudu. Jak widzimy rola jej w obrzędowości jest ogromna. Świat chrześcijański przyjmuje palmę jako pamiątkę uroczystego wjazdu Chrystusa do Jerozolimy. Ze względu jednak na jej występowanie wśród ludów pogańskich, jak również znaczenia jej podczas innych świąt, sądzićby należało, że rola gałązki wierzbowej sięga dawniejszych czasów. Włączona do tradycji chrześcijańskiej cieszy się ta gałązka zielona wielką sympatją, szczególnie w okolicach świąt Wielkanocy. Legenda mówi, iż wierzba babilońska, posłyszawszy straszną wieść z Golgoty, westchnęła: „On umarł, teraz smutne moje gałązki zwieszać się będą zawsze ku wodom Eufratu i płakać łzami jutrzenki".

Niepoświęcana wierzba ma ogromne zastosowanie w lecznictwie ludowem. Wszystkie jej części służą ku wyleczeniu jakiejś choroby. Liście wierzbowe tamują krwotoki gardlem, odwar z nich pomaga na ból w piersiach, kąpiel leczy konwulsje, utarte zaś z octem i przykładane na brodawki, gubią je. Łykiem wierzbowem leczą różę, puchlinę podkurzają próchnem, a na febrę działa zażywanie suszonej kory wierzbowej.

Zarówno u nas, jak i u obcych znanym jest zwyczaj przenoszenia choroby na wierzbę. Chorobą, która najczęściej w ten sposób jest więziona — to febra, zwana również zimnicą. W Kaliskiem chory na febrę powinien zrobić dziurę w wierzbie gwoździem, jakim przybijają gonty, następnie w ten otwór chuchnąć trzy razy i natychmiast tym samym gwoździem zabić dziurę. Chory po takim zabiegu wyzdrowieje, wierzba zaś uschnie, ktoby zaś ten gwóźdź z wierzby wyciągnął, sam padnie ofiarą choroby.

Bywają jeszcze inne praktyki.

Np. w Niemczech chory pisze swe imię na małej kartce i przed wschodem słońca wtyka ją



wierzba — drzewo polskie, charakteryzujące nasz krajobraz, — jest przytem pierwszym zielonym pędem, pojawiającym się na wiosnę.

Dziwne drzewo, mieszczące w sobie błogosławieństwo Boga i złego ducha...



do świeżo wydrążonego otworu w wierzbie, zabija otwór klinem i mówi: „Wierzbo, przychodzę do ciebie, weź 77 zimnic odemnie".

Na Litwie jeszcze inaczej leczą. Na karcie papieru wypisują historję choroby, imię i nazwisko osoby chorej, poczem udają się nad brzeg rzeki. Tu trzymając w lewej ręce 3 latorośle wierzbowe, a w prawej ową kartkę, odczytują historję choroby. Przyszedłszy do słów „miał paroksyzmów", karbują ich liczbę na tegorocznym kolanku gałązki. Powtarza się to 3 razy. Ucięte kolanko tegoroczne wrzucają do wody, a zeszłoroczne palą.

W podobny sposób leczono reumatyzm, ból zębów i gościec.

Zapewne zamykanie chorób w drzewie pożytecznem byłoby dość ryzykowne w razie ich zwolnienia. Wierzba, mało używana do budowy i na opał, rosnąca często w miejscach niedostępnych, mogła być siedliskiem złego.

„Na wierzbie gruszki nie będzie" — mówi przysłowie, świadczące o małej użyteczności tego drzewa. Przysłowie mówi też: „W suchej wierzbie djabeł mieszka", lub „Ulubuysa, jak czort w suchuju wierbu".

Pod Słonimem tak opowiadają o całorocznej wędrówce djabła. Od Trzech Króli do Palmowej niedzieli siedzi djabeł w wierzbie. Gdy się ją poświęci, przechodzi do pierogów, mięsa i jaj; po Wielkanocy wchodzi w ziele, po Matce Boskiej Zielnej siedzi w wodzie, a po Trzech Królach wraca znów do wierzby.

Aby djabeł wyniósł się z wierzby, należy ją przewiązać surową nitką lnianą, lub pszennym powrósłem.

Dziwne drzewo, mieszczące w sobie błogosławieństwo Boże i złego ducha. Sama wierzba w piosence tak się skarży: „Tęskność, smutek, łzy sieroce, jak biały tuman z łąki, za mną w ślady leciały... Wiatr gałązki moje gibkie całował, na fujarki je urzekał, czarował!..

H. Żółtowska.



M. CZERKAWSKA

ANARCHJA WIOSENNA

Wdarła się wiosny fala do pokoju,
murów i cieni rozerwała tamę
Pośród notatek, książek i zeszytów
powstał straszliwy, niepojęty zamęt.

Niemyschle kartki zamazuje słońce,
mądre wyrazy wokół palca mota — —
sztywne kartony atlasów zalewa
promieni śliczny, rozpętany potop.

Fizyka huśta się na okna ramie,
historja pączki bzów chce w sobie zebrać — —
ruchami muszki, obudzonej właśnie,
bawi się chuda, wysoka algebra.

Od domowego uciekłszy zadania,
krzycząc, że praca jest wielką omyłką,
rzucają w siebie roześmiane okresy
słóweczkiem „wiosna", jak różową piłką.

Literatura gwiżdże, jak ptak w sadzie,
patrzy ukosem w niebo bezobłoczne.
Cóż w tej anarchji wiosennej, w bezładzie
z przygotowaniem do mych lekcji pocznę?

10 DNI W ŚWIECIE



SZKOŁA NA PLAŻY.

Któż z nas nie czuje zazdrości, patrząc na poniższą fotografję?

Ta idealna szkoła na plaży morskiej, powstała w Kalifornji. Korzystają z niej dzieci, które muszą zimę spędzać na południu, w wiecznej pogodzie i słońcu.



PRZYJEMNY KONKURS.

Jak wiadomo, w Ameryce istnieje manja konkursów i rekordów. Studentki uniwersytetu w Nowym Yorku, które widzimy na zdjęciu, urządziły sobie pewnego dnia konkurs, która z nich potrafi prędzej zjeść kawon.

Jak widzimy, prócz dobrego apetytu, miłe studentki cieszą się również dobrym humorem.

IDEALNA ZGODA.

Biedny kotek, którego widzimy na zdjęciu, jest wystawiony na niebylejaką próbę — kazano mu spokojnie siedzieć i patrzeć na ptaszki i myszy, które wyprawiają mu pod samym nosem harce.

Oto jak tresura może zapanować nad wrodzonemi instynktami zwierzęcia.

MANICURE SŁONIA.

Trzy urocze amerykanki podjęły się ciężkiego zadania robienia „manicure" młodemu słoniowi.

Jak widzimy, słoń znosi operację zupełnie spokojnie, a nawet — wydaje się — z zadowoleniem.





TRUDNA NAUKA.

Pan Tseng, kierownik seminarjum wschodniego, na uniwersytecie berlińskim z wielką cierpliwością uczy studentów trudnego języka chińskiego. Widzimy go, jak właśnie pokazuje pilnej studentce pisownię liter chińskich. Gdy dowiemy się, że alfabet chiński posiada 36.000 liter, ocenimy dopiero wiedy, ciężką pracę pana Tsenga.



OGRÓDKI DZIAŁKOWE

Ogrody działkowe, jako praca państwowotwórcza naszych dziewczat.

Charaktery młodzieży naszej kształtują się nie w warunkach cieplarnianych, a poprzez realizm dość smutnego życia.

Młodzież ta bądź przez szkołę, bądź bezpośrednio z otchłani zbiorowiska społecznego wstępuje do szeregów czynnych obywateli kraju.

Spoistość zrębów państwowych, poziomy cywilizacyjne oraz kulturalne Polski, struktura jej społeczna oraz konkurencyjna wydajność pracy naszego narodu zależeć będą od fizycznej, moralnej, intelektualnej sprawności tego podrastającego pokolenia.

Charakter narodowy a słońce w życiu.

Z całą wyrazistością powiedzieć musimy, że przyszłość nasza złoży się nie tak, jak zechcą nasi wrogowie odzewnątrz, lecz według tych wartości, jakie posiada w swoim charakterze cały naród i każdy obywatel.

Dlatego też warto jest przypomnieć tutaj zdanie znakomitego naszego ekonomisty i pisarza, Stanisław Szczepanowskiego, że przyczyną utraty niepodległości, zaniku myśli państwowej i niepowodzień we wszystkich dziedzinach życia zbiorowego naszego w dużym stopniu był brak w Polsce wyrobionych charakterów.

A charaktery te muszą być mocne, zdecydowane, nieustępliwe: głowy światłe, sumienie społeczne czujące; świadomość państwowa urobiona ze spiżu pojęć realnych, a zarazem idealistycznych.

Życie w chwili obecnej załamuje ustroje całej ludności. Dokoła rubieży naszych krążą potworne czołgi zniszczenia i przemocy.

W tych chwilach historycznych każdy wysiłek, nawet dziecka, jest potrzebny, byleby on był celowo i planowo wykorzystany. W tych chwilach młodzież nasza musi być czynna w swym karnym hufcu na strażnicy społecznej.

Dlatego też trzeba ją wyprowadzić jaknajśpieszniej na słońce, na podmuch orzeźwiający wiatrów, wprawić ją w rytm fizycznej pracy całego ciała, nasycić ją świeżością owoców, warzyw, mleka i jaj.

Trzeba ją wyprowadzić z ulic i kamiennych grobowców miejskich na dnie całe, na długi szereg miesięcy do pracy i zabawy kultu-[illegible]

Sport w wielu wypadkach daje nam ruch zdrowy. Natomiast zdrową uszlachetniającą pracę dają dzieciom miejskim kolonje ogródków działkowych.

Stowarzyszenia tych ogródków rodzinnych są to instytucje społeczne: posiadają one swój statut, zarząd, oraz opiekę i pomoc Państwa.

Mają one na celu dać możność każdej rodzinie miejskiej: 1) zdobycia zdrowia i hartu przez pracę w ogrodach na słońcu i na powietrzu; 2) zaopatrzenia rodziny w zdrowe, świeże owoce i jarzyny na cały rok; 3) wprowadzenia do powszedniego życia pierwiastków piękna przez zamiłowanie do hodowli roślin ozdobnych.

Na tych ogródkach jest dozwolone stawianie tanich szałasów, domków, werend, dzięki którym rodziny całe mogą spędzać tutaj noce i przez to ułatwiać sobie dłuższy pobyt w ogro-[illegible]

W niektórych kolonjach zagranicą działkowicze hodują drobne zwierzęta użytkowe (drób, kozy, pszczoły) oczywiście za zgodą zarządu stowarzyszenia i z uwzględnieniem koniecznych urządzeń technicznych.



Widok na ogródki działkowe pod Sztokholmem.

Ogródki te mają wymiary obliczone w ten sposób, by uprawa ich oraz utrzymanie w sprawności mogły się odbywać przez pracę całej przeciętnej rodziny (250—300 m²).

Ilość działek w tej kolonji nie powinna być poniżej 40 ogródków. Jednakowoż należy dążyć, by taka kolonja miała ze 300—400 działek, ponieważ tylko tą drogą zbierzemy większe środki na opłacenie fachowego ogrodnika, oraz na urządzenia kulturalne: placu dla zabaw dziecięcych, boiska, plaży, pływalni, krytej hali na niepogodę, toru saneczkowego i ślizgawki w zimie, i t. p.

Jak rozwijają się w Polsce kolonje ogródków działkowych.

Prototypem ich były ogrody zabaw dziecinnych, założone przez doktora Szrebera (1864), które, prócz gier i ćwiczeń gimnastycznych, miały na celu rozbudzenie zamiłowania do natury przez pracę w ogródkach dziecięcych na małych „zagonikach".

Natomiast ogrody działkowe dla młodzieży i dorosłych (rodzina) powstają w Polsce po raz pierwszy w 1898—90 r., gdy robotnicy niewykwalifikowani przedmieści Warszawskich zaczęli samorzutnie i bezplanowo je zakładać.

W 1905 r. powstaje ta akcja w Wielkopolsce, wzorowana na dobrej organizacji niemieckiej. Po wojnie światowej wzmaga się ona tutaj znacznie, popierana przez polskie już Samorządy miast, zarządy kościelne, ośrodki fa-[illegible]

Obecnie ruch ogródków działkowych ogarnął wszystkie nasze dzielnice.

W 1931 r. powstaje w Poznaniu ogólnopaństwowy Związek Towarzystw Ogródków Działkowych. Zrzeszenie to liczy obecnie 150 członków, [illegible]

30 Towarzystw Ogrodniczych Działkowych,
15 Zarządów miast polskich,
27 Kas Chorych,
1 Okręgowy Związek Kas Chorych w Po-[illegible]
1 Spółdzielnię Budowlaną w Poznaniu.

Jak różne narody popierają ogródki działkowe

Stan tej pracy w skali międzynarodowej zobrazuję w zestawieniu następującem (1931 r.):

Anglja (bez kolonij i bez dominjów)	1200.000 działek
Niemcy	1400.000 —
Francja . . .	400.000 —
Polska	7.000 —

Widzimy więc, że Polska w tym wysiłku stoi jeszcze na szarym końcu.

Jest to dla nas wielki wstyd. Również dzieje się przez to ogromna krzywda przedewszystkiem młodzieży naszej, a następnie narodowi całemu.

7 tysięcy ogródków działkowych na całą młodzież wszystkich miast polskich! Za temi liczbami kryje się wielka tragedja naszych dziewcząt i chłopców, której w mierze dostatecznej naprawić nie może sport, półkolonje i obo-[illegible]

Czy w Polsce są potrzebne ogródki działkowe.

Pomijam tutaj naszą wieś. Omówię tylko na kilku przykładach te warunki, w jakich mieszka, pracuje i podrasta młodzież miast polskich.

Otóż statystyka nasza ustala, że w całej Polsce warunki mieszkaniowe są [illegible]

Większość ludności mieści się w mieszkaniach jednoizbowych (w tem kuch-[illegible] pralnia razem) (60 proc.); zaś dwuizbowych mieszkań (t. j. faktycznie jeden pokój i kuchnia zosobna) [illegible]

Ta jednoizbowość jest okrutną rzeczywistością większości miast polskich za wyjątkiem [illegible]

W poszczególnych miastach przedstawiałoby się to w sposób następujący:

Łódź	59,7%	Warszawa	39,2%
Częstochowa	49,5%	Piotrków	38,3%
Radom	48,3%	Dąbrowa Górn.	36,2%
Lublin	47,5%	Poznań	10,9%



Ogródki działkowe w Gnieźnie



Działki w ogródkach warszawskich na Rakowcu.

Włocławek	43,2%	[illegible]	[illegible]
Kielce	45,0%	Bydgoszcz	[illegible]
Kalisz	40,8%	Grudziądz	[illegible]
Sosnowiec	40,7%		

Z tych studzien, z jaskiń mieszkaniowych dziatwa i młodzież wylega na ulicę, nie znając co to jest drzewko i zieleń.

Tak np. w Łodzi, w tem mieście pracy, na jednego mieszkańca przypada 3.5 m² powierzchni zazielenionej, a jedno drzewo aż na 42 ludzi.

Większość mieszkańców miast naszych są to ludzie pracy fizycznej marnie płatnej, a od lat czterech w ogromnym % bezrobotni.

Naprzykład w Łodzi klasa robotnicza stanowi 61% zaludnienia, a wynosi ona około 300 tysięcy.

Młodzieży szkół różnych typów jest tutaj do 64 tysięcy.

Ratować zdrowie fizyczne i moralne tych olbrzymich rzesz dziatwy, podrastających i dorosłych ludzi możemy tylko przez danie im możności pracy we własnych ogródkach oraz przez zasilenie ich ubogiego spożycia w warzywa i owoce z własnej działki.

Innego ratunku niema.

Ogródki działkowe tworzą wielką kapitalizację wewnątrz kraju.

Jeszcze przed stu laty wielki nasz myśliciel Marja Hoene-Wroński zastanawiał się nad tem, jak państwo ma zorganizować wolny czas swoich obywateli, by stał się on prawdziwie odpoczynkowy, a zarazem gromadził wielkie wartości duchowe dla narodu.

Właśnie praca w ogródkach działkowych jest ujmowana w formach najrozumniejszego odpoczynku; wnosi ona do organizmu zdrowie, pogodę nastrojów, dzielność, poczucie piękna w codziennem życiu, a zarazem przetapia ona odpoczynek na wcale pokaźny majątek narodowy, jako najszlachetniejsza forma naszych oszczędności.

Obliczmy te oszczędności z ilości zużytych godzin pracy lub z przeciętnej wartości wyhodowanych kwiatów, owoców, warzyw, z potrąceniem kosztów ogólnych w ogrodzie, nasion, narzędzi, drzew i krzewów.

Otóż jeden człowiek, pracując w ogródku (250 m²) codzień po dwie i pół godziny może utrzymywać go w doskonałej sprawności. Przeciętna rodzina zużyje na to jedną godzinę dziennie. Roczne oszczędności z tej pracy i ogrodowizny obliczane są na 220 złotych.

W ten sposób jeden tylko Poznań gromadzi na swych 1800 działkach oszczędności narodowych, że tak powiemy „z niczego" lub „z odpoczynku" na 400 tysięcy złotych rocznie.

Natomiast oszczędności w gospodarce działkowców w całej Polsce (7.000) rok rocznie wynoszą około 1.650.000 zł.

Ciekawe jest, że jedno tylko miasto Lipsk w Niemczech posiada takich małych ogródków 4,5 razy więcej (30.000) niż cała Polska. Oszczędności mieszkańców tego miasta w gospodarce działkowej sięgają zgórą 6 miljonów złotych, nie licząc korzyści, wynikłych ze zdrowia, tężyzny życia, radosnych nastrojów w pracy.

Jak dalej mamy postępować?

Gasną kominy fabryczne na całym świecie i u nas w Polsce także. Setki tysięcy dziewcząt różnych sfer i klas społecznych oczekują z niepewnością, co z niemi jutro będzie.

W Łodzi zarejestrowano sporo żebraków z maturą. Inżynierowie dyplomowani z garniali [illegible]

Są rzeczy jeszcze okrutniejsze.

Przyszły czasy, gdy nakazem narodowym stała się dzielność charakterów każdego obywatela.

Właśnie praca w ogródku działkowym da im hart, wytrzymałość, oderwie myśl zbolałą od zgrozy bezczynu i bezrobocia.

Jest obowiązkiem tych, dla których los był bardziej litościwy, zrozumieć wielką ideę Ogródków Działkowych oraz niezwłocznie przystąpić z całym zapałem do wcielenia jej w czyn.

Oczywiście, zrobiono u nas w Polsce już cośniecoś, lecz jakżeż niewspółmiernie mało do tego, co zrobiły narody więcej kulturalne, jak to wynika, chociażby z zestawienia wysiłku niemieckiego (1.400.000) i naszego (7.000).

Rozumiemy konieczność rozrostu ogródków działkowych, jako zjawiska narodowego narówni z siecią szkolną, szpitalami, kolejami i t. p. lecz jak naktóżby wziąć się do czynu praktycznie?

Kolejność pracy byłaby taka:

1. Założyć koło szkolne przyjaciół ogródków działkowych, obrać sobie kierownika z pośród najwięcej lubianych profesorów.

2. Zachować nasze pismo i rozdać je w jaknajwiększej ilości osobom poważanym szanowanym i dzielnym, by zachęcić ich do czynnej [illegible]

3. Opracować [illegible] referatów na tematy ogródków działkowych, uwzględniając literaturę oraz miejscowe warunki.



Na boisku ogródków działkowych w Pleszewie (Poznań).

4. Wpłynąć, by w każdej klasie każdej szkoły waszego miasta powstały takie szkolne koła przyjaciół ogródków działkowych.

5. Zachęcić do tego wszystkie organizacje młodzieży (harcerzy, sokołów, przysposobienia wojskowego i wychowania fizycznego oraz inne, nie wyłączając organizacji młodzieży pracującej (polska Y. M. C.) do tej pracy.

6. Należy prosić, by szkoła wasza porozumiała się w tej sprawie z zarządem Gminy, Magistratu, Dyrekcją lasów Państwowych (teren stosowny pod ogródki); z miejscową organizacją rolniczą (fachowy doradca ogrodniczy), z instytucjami społecznemi i państwowemi, a szczególniej z Kasami Chorych. (Zasiłki pieniężne na ogrodzenie kolonji, na studnię i t. d.); z Ogólno-Państwowym Związkiem Towarzystw Ogródków Działkowych w Poznaniu (sporządzanie planów i niwelacja terenu); z władzami Państwowemi (zalegalizowanie statutu Towarzystwa ogródków działkowych).

Każdy działkowiec musi mieć stale pod ręką najłatwiejszą fachową książeczkę ogrodniczą, któraby go pouczała krótko a dostępnie, jak postępować w pracy. Z pośród dość obfitej literatury naszej ogrodniczej zalecam wydawnictwa Bluszczu z serji *„Życie praktyczne"*. Są to:

„Owoce w moim ogródku",
„Mój ogródek: kwiaty",
„Mój ogródek: drzewa i krzewy ozdobne",
„Mój ogródek: trawniki, inspekty, warzywa",
„Zbiór i przechowanie owoców i warzyw".

Niektórzy w ogródkach swoich poświęcają większą uwagę próbom hodowli ziół lekarskich. Te rzeczy omawia wiązanka z tejże serji p. t. „Zioła lekarskie najlepszem źródłem dochodu", napisana przez Eugenjusza Dolińskiego.

Ci, którzy dzielnie pracują na swych działkach ogrodowych, zazwyczaj nabyte zamiłowanie przenoszą do swych mieszkań, zdobiąc je kwiatami. Te rzeczy jednak wymagają specjalnych umiejętności.

Zdobyć je można z książek następujących tejże serji „Życia praktycznego" wyd. Bluszczu: Tak więc mamy

„Rośliny pokojowe" opr. Hanna Trojanowska.

„Pędzenie roślin w pokoju" opr. Hanna Trojanowska.

„Ozdabianie werand, balkonów i okien" — opr. W. D.

„Hodowla kaktusów" opr. Marzenna Saryusz-Stokowska.

Cena wszystkich książeczek powyższych jest jednakowa: wynosi ona *1 zł. 50 gr.*

Przy zakładaniu kolonji ogródków działkowych pamiętać należy, że ogrodnicy sadzą w swych ogrodach jeszcze w sierpniu i zbierają plon w tym samym roku. Zresztą należy wykonać na jesieni cały szereg robót, by działkę przyszykować na rok następny. Więc nigdy nie jest zapóźno zacząć pracę nad realizacją Kolonji Ogródków naszych.

Mieczysław Ptaszycki.

W stałej łączności z naszą Redakcją.

Rozumiemy doskonale, że nie dosyć jest poruszyć zagadnienia Kolonji Ogródków Działkowych, nawet na tak szerokiej podstawie, jak to zrobiła nasza Redakcja. Chcemy pomóc chętnym w najdrobniejszych nawet szczegółach.

Prosimy więc nasze miłe Czytelniczki o pisanie do nas w tej sprawie o wszystkich trudnościach, a odpowiemy Wam w piśmie naszem.

Zwracajcie się również do Instruktoratu Związku Towarzystw Ogródków Działkowych: mieści się on w Warszawie przy ul. Bagatela Nr. 3 lub też do centrali tego Związku w Poznaniu.

Chcąc po pewnym czasie zestawić wyniki naszego wspólnego wysiłku w tak doniosłej sprawie Państwowej ogłosimy w swoim czasie *konkurs* z nagrodami za najlepiej zorganizowany i najwięcej systematycznie wykonywany wysiłek w zakładaniu naszych kolonij Ogródków Działkowych.

Termin zamknięcia konkursu przewidywany jest na pierwszego września.

Warunki konkursu podamy na 1 czerwca.

Wynik wysiłku Waszego podamy w piśmie naszem, zamieszczając opisy, fotografje, imiona i nazwiska najdzielniejszych z Was.

REDAKCJA.

GASTON CH. RICHARD



CZAR SKRZYDEŁ

TŁOM. STEFANJA HEYMANOWA

(Dalszy ciąg).

— Bo u nas powiadają, że jakaś facetka ma dzisiaj latać.

— Facetka? — Proszę cię, Dicku, wyrażać się inaczej ,gdy będziesz mówił o pannie du Colombel — odrzekł Piotr sucho.

Dick spojrzał nań zdziwiony.

— Niech się pan nie gniewa, szefie. Ja tylko tak...

— Dobrze. Więc na drugi raz wyrażaj się inaczej! — odpowiedział Piotr. odwracając się od mechanika .

Dick chciał odpowiedzieć, i pewnie coś zuchwałego ,gdyż jego zielonkawe oczy zaiskrzyły się złośliwością, a ostry ton Piotra do jakiego nie był przyzwyczajony, doprowadził go do wściekłości. Ale Fernand, biorąc pod ramię przyjaciela, przerwał ten djalog.

— Kto rozpoczyna lekcję, ty czy ja? — spytał.

— Ja. jeżeli się zgadzasz — odrzekł Piotr.

— All right.

Janka zbliżała się do nich, trochę skrępowana i niezręczna w swej skórzanej „kombinezie". Na głowę włożyła beret baskijski ściśle obejmujący czaszkę, a wielkie okulary, o wypukłych szkłach, zakrywały jej oczy.

Przywitała uśmiechem obu przyjaciół.

— Dzień dobry panom!

— Dzień dobry pani! — odpowiedzieli jednocześnie.

— Czy nie jest pani bardzo stremowana? — spytał Piotr.

—Nie, zupełnie.

— Proszę mi podać rękę.

Wyciągnęła do niego swą białą rękę. Piotr ujął ją dwoma palcami w przegubie, poszukał pulsu i przekonał się, że jest wyraźny, spokojny, równomierny.

— Doskonale! — rzekł. — Czy nie czuje się pani w tem zbyt skrępowana? — wskazał na kombinezę.

— To niema szyku — przyznała ze śmiechem. — Musimy się jakoś bliżej poznać wzajemnie, ja i mój strój.

— Stanie się to pewnie wkrótce — odezwał się Fernand.

— Czy pani zechce wsiąść?.. Prawa noga tutaj... Ręka tam... Dobrze.

Janka bez wahania wdrapała się na występ, zręcznie przełożyła nogę, i już siedziała na przedniem siedzeniu. Piotr usiadł z tyłu.

— Chciałbym, jeżeli pani pozwoli — rzekł — wobec tego, że pani już pilotowała, zawieźć panią tam wysoko i sprowadzić na dół. Później pani to powtórzy... Kiedy pani ostatnio kierowała samolotem?

— Mniejwięcej trzy miesiące minęły od tej chwili — odrzekła Janka — Lemonnier zaczął mnie trochę przygotowywać...

— Dobrze... Czy pani gotowa?

— Tak.

Piotr wprowadził w ruch motor... Fernand zręcznym i silnym ruchem puścił w ruch śmigło... Samolot potoczył się, po przebyciu jakichś pięćdziesięciu metrów oderwał się od ziemi uniósł wdzięcznie w górę i... wkrótce stał się tylko punkcikiem.

Lotnik odprowadzał go wzrokiem, poczem, słysząc za sobą jakieś mruczenie, odwrócił się i spostrzegł Dicka, o którym już wszyscy zapomnieli. mówiącego do siebie i zbierającego swe narzędzia do pudełka

— Ach, to ty? Jeszcze brzęczysz? — spytał. — Co ci się stało dzisiaj?

— A to, że nie lubię, kiedy ktoś do mnie mówi tak, jak pan Piotr... I to wszystko dlatego, że powiedziałem „facetka" zamiast „panna". Jeżeli teraz między nami zaczną się takie ceregiele, to — adieu! proszę o zwolnienie.

— Idjoto! — rzekł spokojnie Fernand. — Nigdy nie zmądrzejesz. Chcesz odejść, przez to jedno słowo? Zwarjowałeś? Przecież nie możesz tak samo obejść się bez Piotra, jak on nie może obejść się bez ciebie.

— Dlaczego więc mnie zwymyślał?

— Przesadzasz! — Weź papierosa...

Końcami palców podał mechanikowi papierosa, a Dick śmiesznie wysunął wargi, ażeby go wziąć.

— Teraz lepiej? — spytał pilot.

— Tak — mruknął Dick.

Zarzucił sobie na plecy worek z narzędziami. w jedną rękę wziął pudełko. drugą dotknął swej zatłuszczonej czapki, puścił kłąb dymu i rzekł sentymentalnie:

— Jeżeli pan chce. powiem panu szczerze, co myślę. Baba w lotnictwie, to tylko niepotrzebne zawracanie głowy.

I z temi słowami. Dick oddalił się, zostawiając śmiejącego się Fernanda.

Samolot lądował.

Fernand widział że Piotr i Janina wykonywali jakieś gesty. Motor przestał działać w odległości dwudziestu kroków od hangaru: aparat zatrzymał się w pozycji dobrej do odlotu.

Fernand zbliżył się, bez słowa puścił w ruch śmigło i szybko odbiegł w bok... Aparat. w jego oczach. zakołysał się trochę. potoczył się jakieś sto metrów i uniósł w powietrze.

— Tym razem ona pilotuje — pomyślał młody człowiek. Z papierosem w palcach, obserwował samolot. wykonywujący wdzięczne ewolucje.. Po upływie dwudziestu minut. Fernand znów ujrzał, że aparat ląduje i zbliża się do hangaru.

Podbiegł ku niemu.

— Kto z was sprowadził aparat na ziemię?— spytał, zwracając się do obojga.

— To ja — przyznała Janka — wspomagana wskazówkami pana Piotra, gdyż bez niego, nie znając terenu...

— Pani manewrowała bardzo dobrze— rzekł Piotr schodząc na ziemię. — Nie jest pani zmęczona?

— Absolutnie.

— Więc niech pani zabierze Fernanda... Twoja kolej. stary.

Fernand zajął miejsce swego przyjaciela, i teraz Piotr był tym, kto puścił w ruch śmigło..

*

— Więc? — spytał lakonicznie Klemens Durand - Gardel, gdy. w dwie godziny później, syn jego i Fernand weszli do gabinetu. — Jakiego jesteście zdania o waszej uczenicy?

— Zachwycająca! Nadzwyczajna! Jest predestynowana na asa! — krzyczał Fernand. — Ruchy jej są zdumiewające pewne i precyzyjne.

— I co za przytomność umysłu i zimna krew — dodał Piotr.

— A przytem, orli wzrok! — rzekł Farnand.

— Za miesiąc będzie umiała tyle, co my.

— Wcześniej, niż za pół roku, będzie mogła pilotować „Gryfa". Zapewniam pana. szefie — podjął znów Fernand. — I puhar awiacji kobiecej będzie mógł być dołączony do naszych „zbiorów blacharskich" — dodał śmiejąc się. — Ale co za plotki zaczną krążyć w naszym światku, kiedy się dowiedzą, że firma Durand-Gardel przyjęła w poczet swych pilotów kobietę!.. Znam niejednego, który będzie tem zdumiony.

— Ostatecznie więc, jesteście z niej obaj zadowoleni?

Piotr uśmiechnął się i rzekł:

— Musielibyśmy chyba być bardzo wymagający... Byliśmy przygotowani na ciężką pracę, obaj. Ale, gdybyś widział choćby sposób w jaki się bierze do rzeczy! Odrazu można nabrać zaufania. Przy odlocie ograniczyłem się do kilku rad, jak lądować... Ani razu się nie zawahała, nie popełniła żadnej omyłki. Kiedy pozna różne sztuczki zawodowe i nauczy się akrobatyki zrówna się z każdym z nas.

— Stanowczo, wmówicie mi wkońcu, że ta dziewczyna jest czarodziejką — rzekł Durand-Gardel. — Gdzie ona jest obecnie?

— Fangires odwiózł ją do pana, szefie — odrzekł Fernand.

— Jest zmęczona?

— Nie. Taka spokojna, jak pan, w tej chwili. Wysiadając z samolotu nie doznawała nawet tego lekkiego drżenia w nogach, które mają wszyscy, nieprzywykli do latania.

— Jest niezwykle zrównoważona; zarówno fizycznie jak duchowo — rzekł zkolei Piotr.

— *Mens sana in corpore sano* — podjął znów Fernand. — Nie obawiajcie się. Jest to jedyna łacińska cytata, jaką zapamiętałem, więc pakuję ją kiedy i gdzie się da. Jest to cały mój klasyczny bagaż, bardzo efektowny, a niezbyt ciężki do zabrania w podróż.

— Głupstwa! — rzekł Klemens Durand-Gardel — Kiedy będzie mogła stawać do egzaminu?

— Za sześć tygodni — odrzekł Piotr.

— Dobrze...

Podniósł się i spojrzawszy na zegarek rzekł

— Przebierz się pan w smoking, Fernandzie i przyjdź do nas. Dzisiaj jemy obiad o ósmej... Teraz jest wpół do siódmej, ma pan więc czas, ażeby zrobić się nieodparcie pięknym.

— Dziękuję, szefie. Z przyjemnością przyjdę — odrzekł lotnik.

Uścisnął dłonie ojca i syna i czemprędzej wybiegł.

Janka, tego wieczora, była ubrana w suknię różową, skromną, bardzo „dziewczęcą", nawet trochę przydługą: bowiem wtedy, kiedy suknie kobiece były tak krótkie, że wyglądały, jak podkasane. miała zwyczaj ubierać się, bez przesady i bardzo dystyngowanie.

Ale nie mogła poradzić na to, że jej piękną postać Djany - łowczyni, uwydatniał układający się miękko jedwab. że rękawy odsłaniały doskonałą linję jej ramion i że rytmiczny piękny chód pozwalał się domyślać klasycznej budowy nóg.

Kiedy weszła do salonu, gdzie znajdowała się już pani Durand-Gardel i Magdalena, którym Piotr opowiadał o dzisiejszej lekcji — cała trójka nie mogła powstrzymać wyrazów zachwytu.

Janka była piękna, naprawdę królewsko piękna: twarz jej o regularnych rysach, o wielkich szczerych oczach i poważnym uśmiechu otoczona była aureolą bujnych i ciemnych włosów.

D. c. n.



MODY

Suknia z jasnej welenki w drobny deseń. Kołnierz i mankiety z białej piki. Pasek czarny lakierowany, guziki czarne.

Suknia z frotte w pasy. Spódniczka w kontrafałdy. Staniczek w poprzeczne zakładki. Kołnierzyk pikowy. Pasek czerwony.

Sukienka z płótna w pasy. Spódniczka w fałdy. Bluzeczka przybrana białem płótnem.

Suknia z woalu w deseń. Kołnierzyk i pasek dwubarwne: czarno-czerwone.

Suknia z wełny w kratę. Spódniczka plisowana, karczek przypięty na guziki. Kołnierzyk pikowy, pasek lakierowany.



za progiem szkoły



MAŁE CZARODZIEJKI

Zaczęło się to wszystko, jak w prawdziwej bajce o kopciuszku. Mała Agnieszka z suteryny, tak, z ciemnej i wilgotnej suteryny została przeniesiona do pałacu zaklętej królewny. Gdzie spojrzała — lustra — gdzie spojrzała, błyszczące, jarzące lampy, które, jak tysiące ostrych szpileczek raziły oczy bezradne, oślepłe, mrugające. A w tem wszystkiem królowa — wspaniała w koronie siwych włosów (tak zawsze opowiada bajka) z lorgnon i w jedwabnej szeleszczącej sukni. Królowa miała na prawym ręku dwa brylanty, może fałszywe, ale błyszczące, na lewym ręku koral i ametyst, a na szyi łańcuch. Kiedy machała brylantami, to mówiła przy tem:

— Panno Adelajdo — (wszystko było na A. a królowa nazywała się Marie-Antoinette, co stało wypisane na czerwonym szyldzie nad sklepem) — proszę podać dla klientki ten najnowszy fasonik, model paryski.

Kiedy machała koralem i ametystem, wołała:

— Agnieszko, skocz do sklepiku po szpilki i przynieś jeszcze 10 deka szynki na śniadanie.

Agnieszka przynosiła szpilki i szynkę, wyjmowała z pudeł nigdy niekończące się metry wstążek, i zwijała je równo na ręku, patrząc z zachwytem na bogate barwy. Potem układała na półkach połyskujące aksamity, czarny, wiśniowy i nadewszystko ukochany, ciemno zielony. Raz, Agnieszka przytknęła do swej biało-różowej twarzyczki ten zielony aksamit i dojrzała, że jest jej z tem ładnie. Odtąd śnił się jej po nocach dopóty, dopóki nie oszalała z zachwytu na widok czepeczka ze srebrnej lamy, który panna Bronka, „starsza panna" w magazynie robiła dla jakiejś autentycznej hrabiny. Agnieszka wszywała potem do niego białą jedwabną podszewkę i ręka jej drżała, żeby, aby równiutko wyszły ściegi. Była to przytem jej pierwsza, odpowiedzialna praca, która wydobyła ją wreszcie z kręgu wiecznych porządków w szafach i gablotkach i biegania na posyłki. Agnieszka wracała teraz do swojej suteryny z pokłutemi palcami, ale szczęśliwa i z dumą opowiadała matce:

— Wie mama, dziś, to już obrębiałam prawdziwy jedwab — albo:

— Układałam kokardę i panna Bronka powiedziała „doskonale", albo:

— Układałam fason na manekinie i wyszło bardzo dobrze.

Matka, jak to matka, rozjaśniała się przy tych słowach, jak samo słońce, a ojciec, odrywał na chwilę ręce od hebla, piły czy tokarki, dodawał:

— Ucz się dziewczyno i staraj, to zapamiętaj sobie, że całe sto złotych miesięcznie płacę za twoją naukę.

O, Agnieszka dobrze pamiętała te sto złotych, bo powracały jak przykry refrain w ciągu półrocznych narad i debatów na temat „zawodu" Agnieszki. Były tańsze magazyny, gdzie przyjmowano uczennice, ale nie takie, jak Marie-Antoinette. O, nie takie, a rodzice Agnieszki mieli pretensję, aby to było coś pierwszorzędnego.

Były nawet projekty, żeby oddać Agnieszkę do szkoły zawodowej, na tak zwane modniarstwo, ale — tyle, tyle tych szkół, a niewiadomo czy dobrze, bez praktyki nauczą. Niedawno wpadła Agnieszce w ręce karteczka z adresami i przypomina sobie minione udręki namy-

Białystok, ul. Sienkiewicza 57/59. Państwowa Szkoła Przemysłowa Żeńska.

Lwów, Zielona 8. Państwowa Szkoła Zawodowa Żeńska.

Łódź, Kopernika 41. Państwowa Szkoła Przemysłowa Żeńska.

N. Sącz Pl. Gen. Dąbrowskiego. Szkoła Przemysłowa Żeńska P. M. S.

Przemyśl, Ul. Czarneckiego 1. Szkoła Zawodowa Żeńska P. S. L.

Sosnowiec, ul. Konopacka 2. Państwowa Średnia Szkoła Zawodowa Żeńska.

Tarnów, Mickiewicza 1. Szkoła Zawodowa Żeńska.

Warszawa, ul. Narbutta. X Miejska Szkoła Rękodzielnicza.

Łódź, Lokatorska 12. Szkoła Rękodzielnicza Żeńska.

Sosnowiec ul. Kaliska 15. Żeńska Szkoła rzemiosł.

Jarosław, ul. 3-go Maja 1. Kurs Modniarstwa Tow. Szkoły Handlowej.

Warszawa Górnośląska 31. Seminarjum nauczycielek Rzemiosł i Szkoła Przemysłowa żeńska.

Wilno, ul. Wileńska. Kursy Czapnictwa i modniarstwa Tow. Pracy Oświatowej.

Po nocach krążyły po głowie adresy i nazwy szkół, we dnie dręczyły wątpliwości, dokąd może iść dziewczynka z ukończonemi 5-klasami szkoły powszechnej. Wreszcie wyłoniła się koncepcja Marie-Antoinette, gdzie, przyjaciółki znajomej, jeszcze innej znajomej znała jedną z pracujących.

— Ach, jak dobrze, jak dobrze, — myślała Agnieszka zeszywając kunsztownie bronzową słomkę. — Po dwóch sezonach pracy będzie można zdać egzamin i dostać pierwszą pensję, zawrotną sumę 50 zł. Potem — tu marzenia Agnieszki utknęły. — Czy będzie tak zdolna, jak panna Bronka, która ma już 250 zł? O pannie Bronce mówi się, że ma złote ręce, i że żadna tak nie potrafi twarzowo i lekko upiąć kapelusza. Pozatem jest jeszcze panna Sabina. Choć pracuje tyleż lat, co panna Bronka, ma tylko 100 zł. Nie jest taka zdolna, robi wszystko, cokolwiek za ciężko, jej specjalnością są eleganckie bereciki i toczki, ale nigdy nie zrobi ładnie wygiętego ronda, ani malowniczej kokardy. Agnieszka patrzy uparcie na ręce panny Bronki, panny Sabiny, panny Leokadji, i uczy się. Najchętniej jednak tkwi przy pannie Jance. Panna Janka jest trochę inna, ma 6 klas gimnazjum, śliczne o długich palcach ręce i parę lat pracy nad kapeluszami. Skończyła już szkołę zawodową — bo miała być nauczycielką rzemiosł, ale rozmyśliła się i poszła do magazynu. Panna Janka zarabia nawet 300 zł. miesięcznie i niedługo otworzy sama własny magazyn. Obiecała wziąć do siebie Agnieszkę, jak się nauczy wszystkich cudów Marie-Antoinette. A tymczasem, szyjąc dużą, złocistą pasterę, opowiada. Opowiada o szkole, w której była 3 lata, gdzie dziewczęta uczą się wielu różnych rzemiosł, aby potem z kolei, wykładać same — w innej szkole. Płaci się tam 50 zł. rocznie, i ma się wykłady teoretyczne, no i trochę praktyki.

— Ale za mało — mówi panna Janka — uważam, że zawsze lepiej iść do magazynu. Prędzej się można nauczyć, prędzej dojść do czegoś, szczególniej, jeżeli się ma tak zręczne paluszki, jak ty, mała Agnieszko.

Agnieszka uśmiecha się z cichem zadowoleniem. Miło jej, że ma zręczne paluszki, że kokarda jej się dobrze udała, że uda jej się jeszcze wiele pięknych kokard, węzłów i spięć, i że kiedyś, za lat parę, dojdzie do czarodziejskiej sumy 300 złotych.

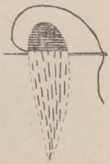
Zofja Miszewska



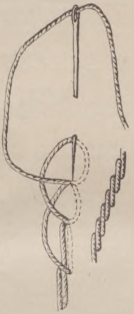
Agnieszka patrzy uparcie na ręce panny Bronki.

ROBOTY RĘCZNE

H*aft* wypukły otrzymujemy przez podłożenie danej płaszczyzny, a następnie przez równomierne zasnucie jej powierzchni. Np. mamy wyhaftować podłużny element hafciarski (rys. 1). Nie zatracając konturu rysunku podkładamy płaszczyznę tę wzdłuż jej długości parę razy ściegiem przed igłę, uważając, by pod spód dawać ścieg krótki. Następnie bez odcinania nitki zaczynamy atłaskować w przeciwnym kierunku, niż podkład. Nitkę układamy gęsto jedną obok drugiej, żeby nie przeglądał podkład. Igłę wkluwamy w linję na materjale ostrzem do siebie.



Rys. 1



Rys. 2

nabierając na nią całą szerokość elementu do zahaftowania. Nitkę zakańczamy z lewej strony, przesuwając ją parę razy ściegiem przed igłą wzdłuż haftu. Jeżeli mamy we wzorze parę elementów blisko siebie, możemy wtedy bez zakończenia każdego z osobna przechodzić do następnego oczywiście z lewej strony roboty.

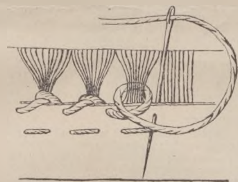
Mniejsza lub większa wypukłość haftu zależy od sposobu podkładania.

Haft płaski różni się od wypukłego tem, że się go robi bez specjalnego podkładu ,co znaczy, że albo się wcale nie podkłada, albo bardzo [illegible] raz przez środek, co jest właściwie [illegible]niem nitki.

Rys. 2. *Sznureczek* robimy po naznaczonej linji od siebie. Igłę jednak wkluwamy ostrzem ku sobie. Odróżniamy tu ścieg wierzchni — sznureczek i spodni t. zw. stebnówką. Umocowawszy nitkę kilkoma ściegami w jednem miejscu, układamy ścieg wierzchni niezbyt długi, nabierając równocześnie na igłę materjał z pod połowy zrobionego już ściegu wierzchniego. Wyciągamy igłę i następny ścieg sznureczka posuwamy na przód tylko o połowę jego długości, gdyż znów igłę wyciągamy w miejscu ukończenia się poprzedniego ściegu. Tym sposobem ściegi wierzchnie zachodzą na siebie w połowie swej długości i są 2 razy dłuższe od stebnówki, dając zarazem efekt skręconego sznureczka. W czasie roboty należy uważać, by nitka układała się stale po lewej ręce, a igłę wkluwać przed nią, czyli z prawej jej strony.



Rys. 3

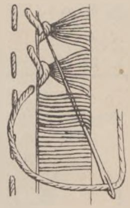


Rys. 5

Linje zygzakowate (łamane) o krótkich załamaniach, robimy w ten sposób, że zaczynamy igłą w miejscu załamania, zaledwie o parę nitek materjału, czyli j. t. ozdobny ścieg przed igłą.

Mereżka zwykła czyli słupkowa.

Do mereżki przedewszystkiem wyciąga się w odpowiedniem miejscu, odpowiednią ilość nitek. Przytem, jeżeli chcemy ją robić i po szerokości i po długości materjału (np. w serwetce kwadratowej lub t. p.), należy pamiętać, iż nitki w materjale, w obu tych kierunkach nie są jednakowo ciasno tkane i często nie są jednej grubości ,a zatem w wyciąganiu nitek musimy się też kierować wzrokiem. Mereżkę robimy z lewej



Rys. 4

strony materjału czy roboty. Jeżeli ma być przy obrębku — należy go założyć po wyciągnięciu nitek i równo przyfastrygować. Następnie zabieramy się do wiązania nitek przy obrębku. Materjał układamy na dwóch palcach lewej ręki: na wskazującym i środkowym, przytrzymując równocześnie obręb dużym palcem, a napięcie materjału serdecznym. Niewidocznie umocowujemy nitkę, najlepiej koniec jej wpuszczając w obręb, następnie na igłę, skierowaną ostrzem ku lewej ręce nabieramy kilka nitek (o parę mniej od wyciągniętych) i przeciągamy pod ich spodem nitkę (rys. 4), robiąc temsamem skośny ścieg przy obrębie. Dalej krzyżujemy na nim nitkę i igłę wkładamy pod brzeżek obrębu (rys. 5). I tak dalej powtarzamy to samo, posuwając się w prawą stronę roboty: (czyli znów nabieramy nitki na igłę, wyciągamy, krzyżujemy i chwytamy za obręb). Z przeciwnej strony mereżki jest ta różnica, że po skrzyżowaniu nitki, chwytamy za brzeżek materjału przy mereżce.

Nitkę zakańczamy i zaczynamy, owijając nią kilku ściegami brzeg materjału. Po zrobieniu mereżki widzimy po prawej stronie ładnie ułożone drobne ścieżki.

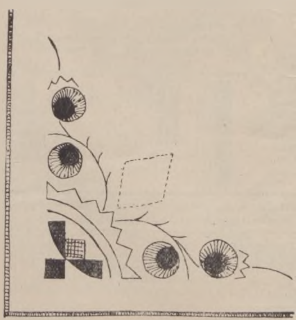
NAROŻNIKI CHUSTECZEK

Narożnik I-szy.

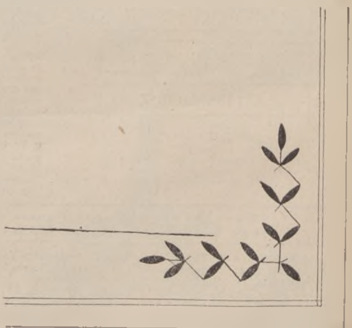
Wzór w dwóch kolorach na haft płaski i ściegi. Kolory: rdzawy i kremowy. Plamy ciemne — kol. rdzawy. Zacieniowane — kremowy. Żyłki robione sznureczkiem. Brzeg dzierganka w kolorze kremowym. W miejscu oznaczonem kropkami może być monogram.

Narożnik II-gi

Wzór jednokolorowy. Obrębek mereżkowy. Haft wypukły. Linje sznureczkowe (Objaśnienie w tekście).



Narożnik I-szy.



Narożnik II-gi

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR. 2.

4. KRZYŻÓWKA.

A	N	T	A	G	O	N	I	Z	M
N	E	Y	■	U	D	A	R	■	O
T	O	R	■	S	O	D	A	■	R
W	■	A	S	T	R	Y	■	D	F
E	■	N	A	■	Y	M	■	N	I
R	E	J	■	I	■	I	W	A	N
P	R	A	G	N	Ą	Ć	■	■	I
J	■	■	R	A	J	■	E	M	S
A	R	K	A	■	A	K	R	A	T
■	O	L	D	■	D	R	A	G	A

5. REBUSIK.

Para gra f (nuta f)
Paragraf

6. ŻARCIK.

STO

7. KWADRAT MAGICZNY.

H	E	K	U	B	A
L	A	W	I	N	A
G	A	L	E	N	A
B	A	R	A	K	I
P	O	D	A	M	Y
N	I	N	I	W	A

8. BILETY WIZYTOWE.

REDAKTOR PISMA

KIEROWNIK SZKOŁY

PREZYDENT MIASTA

ANTYKWARJUSZ

9. KALAMBUR.

czar - dasz
Czardasz

Trafne rozwiązanie zadań z Nr. 2 „Świata Dziewcząt" nadesłali:

Bochnia: Karplówna Zofja, *Bydgoszcz:* Rozwadowska Irka. *Chełmno:* Frankiewiczówna Marja. *Gołków:* Orzeszko Halina. *Katowice:* Fryling Janeczka. *Kielce:* Jędruchowa Marta. *Końskie:* Piekarska Zofja. *Kraków:* Nowotarska Lancia. *Lwów:* Łesiukówna Anna. *Poznań:* Stradzianka Jadzia. *Puszczykowo:* Zabieglińska Irena. *Tarnów:* Podsońska Renata. *Warszawa* Kozlowski N., Kazimierz Paluch Jan, Słowikówna Wanda, Strubel Marja, Wiśniewski Franciszek, Wiśniewski Kazimierz. *Zawiercie:* Dąmbska Hanka.

Nagrody wylosowali:

1. p. Halina Orzeszko z Gołkowa. 2. p. Anna Łesiukówna ze Lwowa. 3. *p. Zofja Piekarska* z Końskich.



Marylce z Tarnowa.

Przedewszystkiem, na miły Bóg, wyzbądź się uprzedzenia do siebie, Marylko. Mogę Cię zapewnić na odległość (długi list w ręku — na tem można już się oprzeć), że nie jesteś ani szorstką, ani narzucającą się. Sprawiasz wrażenie skupionej, spokojnej i — dobrej dziewczyny. Widać to choćby ze stosunku do brata i Matki. Dlaczego obawiasz się wejść do Bratnich Dusz? Jestem pewna że mała Ow — chętnie poznałaby się z Tobą. Napisz do nas a my list Jej prześlemy.

Fotografje przysyłajcie, byle ostre i wyraźne, a także nie pozowane u fotografa — najlepiej amatorskie, chwytające jakieś przejawy życia na gorącym uczynku. Jeśli chcecie, możemy je zamieszczać w piśmie imiennie lub bezimiennie. *To trzeba koniecznie zaznaczać.* Możemy też ich używać jako ilustracyj do artykułów.

Zamieścimy też artykuł o fotografowaniu.

Masz zupełną rację, że metody obu Janek z Waszej tronicy przed maturą i końcem roku wydają smętne wyniki. Pisałyśmy już o tem zresztą w artykułach. „Nie uczyć" się trzeba w rzeczy samej — bardzo ale to bardzo umiarkowanie. A Twoja matura tuż tuż. Zdasz ją napewno! A czy napiszesz jeszcze do nas? Trzeba!

Sally Sweet.

Niestety, odpowiedź nie wynikła najszybsza, ale zawsze i niezbyt spóźniona! Rzeczywiście, sądząc z epizodu w Rouen, wydajesz się predysponowaną do niezwykłych przygód. Myślę, że z licznych „za progów szkoły" coś sobie dobierzesz. Pewno jednak Centralny Instytut Wychowania Fizycznego (C. I. W. F.). O tamtej szkole oficerskiej w Kalifornji trudno nam udzielić Ci informacyj. Jest zresztą u nas Przysposobienie Wojskowe Kobiet — nie wyemigrujesz chyba do Kalifornji!

B. się cieszymy, że artykuł „Ja i moja klasa" przydał Ci się do klasówki. Mamy nadzieję, że potraktowałaś go tylko, jako materjał. — Nie, to jasne, że na dentystkę się nie nadajesz! A może przyślesz nam coś ze swoich dziecinnych wspomnień, z okresu owego przebrania za chłopca! A nie dałaś swego adresu! Nie jest to obowiązkowe, ale radzę Wam, podawajcie adresy do naszej wiadomości. Wyobraź sobie, że któraś z Br. Dusz zechce do ciebie napisać na nasze ręce — a nie będziemy wiedziały gdzie Ci odesłać list! Trzeba będzie ogłaszać w numerze i t. p. Niewygoda i opóźnienie. Jeszcze napiszesz do nas, prawda?

„Kiku".

Twoje „Zwiedzanie muzeum" pójdzie. Trochę szarżujesz humor, przez to wychodzi on nieco książkowo i niebardzo się wierzy w tak specjalnie dobrany bieg zdarzeń. Spróbuj pisać coś i w innym tonie, albo postaraj się nieco pogłębić swoje humoreski. Nie wzoruj aby swego stylu na Zarzyckiej — to literatura b. pośledniego gatunku. Widocznie narzeczony Twój uważa Cię jeszcze za bardzo dziecinną, jeśli przypuszcza, że nie poznasz się na płytkości i łatwiźnie tej autorki. Jest przecież tyle świetnych książek!

Uważamy Cię za naszą „starą, zacną" przyjaciółkę, Kiku, dlatego piszę bez ceremonji. Jesteś przecie pod naszą opieką „literacką". A może nie chcesz?

Przyślij koniecznie fotografję, na której siedzisz i czytasz „nas" (b. dobry skrót!). Proszę, powiedz koleżankom, żeby nie kupowały nas doryweczo w kjosku, tylko prenumerowały — to o wiele taniej i wygodniej dla stron obu. A czy wiesz, że numer świąteczny dostaniesz (i Ty i inne) 15-go, zamiast 20-ego, w prze-ślicz-nej okładce!

Musisz więc swoją tęsknotę przeflancować na 15-ego! Ale zato potem — trzeba wytrzymać — 15 dni do 1-ego Maja.

Fotografij — jaknajwięcej, byle nie bladych i zamazanych. Wszystkie muszą być podpisane, bo się pogubią. Ostrzegam! Do następnego listu, Kiku!

Miłośniczce historji.

Hm... coby to wymyślić na twoje włosy — nie może to być porada lekarska, tylko raczej „życiowa". Czy próbowałaś przedewszystkiem ustalić typ uczesania najbardziej zgodny z wrodzoną tendencją twojej „fury siana". Środka, o który zapytujesz, polecić nie możemy. Czy nie spróbowałabyś siatki na noc, albo po myciu? Pod nią zwykle włosy się dobrze układają. Jeśli nie pomoże — przyślij choćby amatorską fotografję twojej czupryny, bo trzeba przecież wiedzieć, czy są to krótkie, sterczące kosmyki, czy naturalne loki, czy „ulizane" coś.

Czekamy bliższych wyjaśnień zarówno w tej sprawie, jak w zamiłowaniu do historji. Może to będzie ciekawsze(co zresztą obiecujesz!).

Ale trudno — grunt nie straszyć ludzi — rozumiemy to doskonale.

Lili.

Bardzo chętnie udzieliłabym Ci informacji, jak się ubrać na ślub wujaszka. Ale popełniłaś zasadniczy błąd: nie napisałaś o jakiej porze dnia ślub ma się odbyć, oraz czy jest cichy, czy też będzie dużo gości. A to jest podstawowy warunek przy określeniu rodzaju sukni. Co innego nosi się rano — wystarcza kostjum lub skromna wełniana suknia. Na popołudnie obowiązuje suknia wizytowa strojniejsza, a wieczorem zupełnie strojna o charakterze weselnym. Nie wiedząc, o której porze będzie ślub Twego wuja, nie mogę doradzić Ci rodzaju sukni. Napisz więc zaraz, jak ta sprawa się przedstawia. A także jaki masz kolor włosów i jaką cerę. Wtedy mogę Cię ubrać odpowiednio.

Kostjumik na wiosnę będzie ładny granatowy z kolorowemi bluzeczkami. Możesz sobie zrobić również beige lub popielaty, ale to zależy również od koloru Twoich włosów i cery.

Czekamy ponownego listu.

Do wszystkich!

Hallo! Pamiętajcie o rozpowszechnianiu naszego pisma! Przyjaźń — to przyjaźń!

Warunki prenumeraty: rocznie — zł. 10.—. półrocznie — zł. 5.—; kwartalnie — zł. 2.60; miesięcznie — zł. 1.—.
Cena ogłoszeń: strona dzieli się na 4 łamy Szerokość łamu 54 mm 1 mm w łamie 60 gr. Cała strona 720.— zł.

OGŁOSZENIA PRZYJMUJĄ: Biuro Ogłoszeniowe Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40, Rudolf Mosse, Marszałkowska 124; „PAT", Królewska 5; T. Pietraszek, Marszałkowska 115; Polska Agencja Publicystyczna, Marszałkowska 95; Międzynarod. Biuro Ogł., Senatorska 29; „Ruch", Wydz. Ogł., Poznańska 68; Jan Apte, Zielna 26; „Par", Bracka 17; „Merkury", Królewska 49; Kraków: „Par", Rynek 46; Cieszyn: Rudolf Pszczółka, Rynek; Katowice: „Par", Poprzeczna 6; Lwów: „Par", Akademicka 14; Łódź: Fuchs, Piotrowska 50; Poznań: Pol. Agencja Rekl. „Par", 27 grudnia 10; Wilno: Biuro Julana, Niemiecka 14; Gdańsk: „Devera", Kohlenmarkt 10.

Redaktorki: Hanna Januszewska-Moszyńska i Wanda Borudzka. Wydawca: Tow. Wyd. „BLUSZCZ".

Redakcja i Administracja Solec 87, tel. 244-18 i 787-03. Konto P. K. O. Nr. 18.800
Redaktorki przyjmują w poniedziałki i środy od godz. 11 do 13.

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87. Tel. 787-03.